Cena zł 20 + 1 na fundusz dzieci „CARITAS"

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 7 marca 1948 r. | Nr 10 (119)

Juliusz Nowak-Dłużewski

U ŹRÓDEŁ REGIONALIZMU

Kiedy w drugiej połowie w XIX chłop polski wskutek niezdrowych warunków gospodarczych bytowania wsi naszej musi opuszczać swą chatę, aby w Ameryce szukać dla siebie nowych podstaw życia, rady sobie tam dać nie może. I to nie dlatego, żeby mu sił brakło na wyrąbanie sobie nowego życia. Nie. Owszem, pracą polskiego rolnika zakwitły gospodarczo całe stany brazylijskie czy północno-amerykańskie. W pysznych puszczach brazylijskich, na bogatych ziemiach Północnej Ameryki zabrakło polskiemu chłopu ojczyzny: polskiego bladego nieba, mazowieckiej sosny z jałowych piasków, tego wszystkiego, z czym się zrósł duchowo od wieków.

Przejmująco przedstawia nam M. Konopnicka w poemacie „Pan Balcer w Brazylii" nędzę duchową emigranta, żartego przez tęsknotę do ojczyzny, ta sama Konopnicka, która tak pięknie zobrazowała w wierszu: „Chodziły tu Niemce, chodziły odmieńce", istotę przywiązania ludu naszego do ziemi przodków. Do wielkiej potęgi w dramatycznym ujęciu ucisku moralnego chłopa polskiego; oderwanego od kraju a rzuconego na obczyznę, dochodzi Sienkiewicz w noweli „Za chlebem". Bohater jej wtedy dopiero zaczyna odczuwać piękno i wartość swego rodzinnego zakątka, kiedy go zły los oderwał od niego na zawsze. Najdrobniejsze, najpospolitsze przedmioty jego rodzinnego otoczenia w Polsce w perspektywie oddalenia nabrały dla niego niewypowiedzianej wartości. Przeżycia tego chłopa powtórzył Sienkiewicz z pewnymi odmianami, ale również z wielką siłą wizji poetyckiej w marzeniu emigranta Skawińskiego o wsi rodzinnej. Ten związek duchowy człowieka z krajem rodzinnym, który go łączy tysiącem uczuciowych nici z całością tego, wśród czego człowiek wzrósł, z czym sie duchowo od dziecka zespolił, jest zjawiskiem ludzkim i wiecznotrwałym. Toteż znajdziemy go nie tylko u siebie, ale i u innych narodów, nieraz zupełnie odrębnych, oddalonych od siebie tysiącami lat i dziesiątkami tysięcy kilometrów. Odysseusz, bohater starogreckiego poematu, przez dziesięć lat podąża do swej ojczyzny poprzez różne piętrzące się przed nim przeszkody i narzucające mu się ponęty wygodnego życia z dala od swoich, piastując w marzeniu swoim tak pospolitą rzecz, jak widok dymów z kominów rodzinnych osiedli na jałowej, skalistej Itace. W dwa i pół tysiąca lat potem przedstawiciel narodu słowiańskiego, o odmiennej od Greków budowie duchowej, rosyjski dramaturg Gribojedow ujmuje ten sam problem żywiołowego niemal przywiązania do codziennej, niczym pozornie niepociągającej pospolitości rodzimej, ujmując go nawet w podobny Homerowi sposób, w formę aforyzmu: nawet dymy ojczyste są mi słodkie.

Rzecz interesująca, że te same zagadnienie, w tej samej niemal formie poetyckiej odnajdziemy w „polskiej Odyssei" — „Panu Tadeuszu". Polak na emigracji, Mickiewicz, poetyzuje sobie najpospolitsze zjawiska życiowe scenerii swego rodzinnego zakątka nowogródzkiego, które pod wpływem rozłąki sublimuja mu się do kategorii rzeczy niezwykle pięknych, niezwykle pociągających, drogich jedynych na świecie. Dość tu przypomnieć sobie te żaby polskie, kóre „grają" najpiękniej na świecie. Ba, jest w „Panu Tadeuszu" pewne miejsce, w którym dym widzianego ongi w ojczyźnie ogniska zaczyna się dla poety zabarwiać uczuciowo w taki sposób, jak się to dzieje w „Odyssei" i w monologu bohatera dramatu Gribojedowa Czackiego.

Prawo psychologiczne kontrastu mówi, że najdobitniej różnice w treści zjawisk przeżywanych, występują wtedy w naszej świadomości, kiedy je sobie uświadamiamy w przeciwieństwach. Różność uczuciową swego krajobrazu i jego stąd dla siebie wartość ludzie Konopnickiej, Sienkiewicza uświadamiają sobie dopiero wtedy, kiedy się znaleźli w otoczeniu psycho - fizycznym zupełnie odmiennym, kiedy go już zostali pozbawieni.

Z wnikliwością a jednocześnie prostotą ujął to zjawisko sam przecież Mickiewicz na samym początku swego poematu:

Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie:
Ile cię trzeba cenić ten tylko się dowie,
Kto cię utracił.

Są to wszystko sprawy ludzkie, „arcyludzkie", których przemyśle nie wyprowadza nas z obrębu zjawisk literackich na szerokie pola współczesnych nam kwestii społecznych.

Łączność człowieka z krajobrazem we wszystkich cytowanych przeze mnie utworach jest, jak łatwo zauważyć, pojęta nie w powszechnym charakterze tego krajobrazu. Ten krajobraz w przeżywaniu ludzi wszędzie się zwęża redukuje, do pewnej okolicy, ciaśniejszej jak się to mówi, ojczyzna człowieka. Mickiewicz opiewa Nowogródczyznę, bo tęskni tylko za nią, jej brak duchowy głównie odczuwa, nie całej Litwy. Bohaterzy Konopnickiej i Sienkiewicza marzą tylko o swej wiosce rodzinnej, określonej, zamkniętej w ściśle dla nich uczuciowo oznaczonej okolicy ogólnopolskiej ojczyzny. W położeniu chłopa jest to zjawisko zupełnie zrozumiałe. Ale specjalnej siły dowodowej nabiera ono na przykładzie Mickiewicza.

Właśnie nawet w duszy geniusza naszej literatury, arcyludzka sprawa tęsknoty za ojczyzną przybrała formę nostalgicznej wizji nie całej Litwy, nie całej Polski, ale ich wycinek, syntezę jakoby, umiejscowioną w sposób naturalny w okolicy, dobrze poecie znanej, gdzie poeta się urodził i wychował. Trafimy w sedno sprawy, kiedy z upoważnienia samego Mickiewicza przypomnimy sobie, że wymaginowane, ale przecie realne Soplicowo nazwał on „centrum polszczyzny". Jesteśmy w tej chwili u źródła tego zjawiska, które się w całej swej krasie objawia w literaturze pięknej, a które nazwano niebardzo dawno regionalizmem (od wyrazu łacińskiego regio, co oznacza krainę w przeciwstawieniu do kraju).

W pojęciu regionalizmu tkwi więc związek uczuciowy człowieka z tą ciaśniejszą jego ojczyzną, w której się urodził i wzrósł. Idąc za pojęciem regionu, doszukujemy się w węższych krainach danego kraju jakichś specyficznych wartości, które go wyróżnia ją od innych, sąsiadujących, nadają im odrębny charakter, pewną jakby indywidualność. Nazwa jest nowa, ale pojęcie — bardzo stare. Nie jest to wynalazek czasów ostatnich. Regionalizm jest tak stary jak człowiek, jego odczucia i tęsknoty, jego związek z ziemią. Stąd najsilniej działa w duszy ludu. W obręb działania regionalizmu dostaje się Grek, Polak, Rosjanin z tymi samymi dążeniami, które gatunkowo mają ten sam ciężar, a różnią się od siebie sposobem uzewnętrzniania się, tzw. ekspresją, co nie jest tylko terminem literackim dla zjawisk literackich, ale i dla codziennej rzeczywistości. Zrozumienie dla zjawiska i istoty „regionalizmu" zaznaczyło się zwłaszcza w okresie romantyzmu, okresie wzmożonego kultu rodzimości, oryginalności mocy duchowej, które znaleziono w ludzie. W czasach poprzedzających wojnę ostatnią, regionalizm stał się potrzebą duchową bardzo wielu ludzi, w bardzo wielu krajach, znużonych i wymęczonych uniwersalizmem życia współczesnego. Człowiek dzisiejszy, dla którego nie ma już właściwie nic nowego, który dzięki usprawnieniu nowoczesnej techniki komunikacyjnej i wynalazkowi radia stał się nagle obywatelem całego świata, poczuł się zmęczonym. Wszystko wie, wszystko widział, ale w duszy zamiast bogactwa przeżyć ma tylko czczość i pustkę. Toteż ptak wysokich i dalekosiężnych lotów coraz częściej wraca do ziemi, szukając wytchnienia na gałęzi pospolitej wiejskiej wierzby. Niewątpliwie do znużenia ludzi współczesnych w dużej mierze przyczyniły się postępy zurbanizowania, „umiastowienia" życia. Toteż coraz częściej człowiek miejski ucieka na wieś: tu geneza amerykańskich „week endów", stąd również rozumiemy sport wędkarski mężów stanu. Uciekają jak oparzeni od zbyt szybkiego tempa dzisiejszego życia, od jego sztuczności. Tak zresztą działo się również we wszystkich epokach przerafinowanego życia: w wieku XVII, wieku „Arkadyj", w wieku XVIII, wieku sielankowych zabaw „towarzystwa", (łącznie z dojeniem krów przez wykwintne panie), to samo zresztą stwierdzimy w epoce rozkładu starorzymskiej kultury, na której opiera się siła państwa, w epoce augustowskiej, której wyrazem są sielanki wergiliańskie.

W wyniku wskazanych przyczyn, wyniku procesu samookreślenia i zwężenia aspiracji współczesnego człowieka i jego powrotu do prymitywu dostrzegł ten człowiek rzeczy niebywałe, które dotychczas uchodziły może powszechnej uwadze. Ponad wspaniałe cejlońskie palmy, nicejskie cyprysy dostrzegł on większe od nich piękno w sylwetce wielowiekowej lipy czy w smukłych zarysach topoli. Od Alp piękniejsze mu się wydały Tatry czy nawet spokojne i uległe kształty gór Jury Krakowskiej. Tak jak dla Tadeusza Mickiewiczowskiego piękniejsza była wieśniaczka—brzezina od cudzoziemskiej karłicy-cytryny.

Człowiek ten dostrzegł więcej jeszcze. Od tajemniczego Hindusa czy egzotycznego Malajczyka

Wytyczne

* * *

Dramat ewolucji ludzkiej, dokonywującej się wśród jęków, łez i krwi, — to prawdziwa Kalwaria świata żyjącego — jest do przyjęcia, gdy ma doprowadzić do człowieka - boga. Ale jeśli w wyniku tylu agonii ma być tylko grób? W takim razie ten ostatni człowiek w ostatni wieczór ludzkości, pozbawiony nadziei zmartwychwstania, wydałby ten najtragiczniejszy z okrzyków jakie kiedykolwiek rozlegały się nad światem: Eli, Eli, lamma sabaktani!

Na ten krzyk my, chrześcijanie wiemy, odpowiedział Przedwieczny. Wiemy, że męczeństwo Człowieka - Boga sprawiło, że zasiadł On po prawicy Ojca a z Nim odkupiona ludzkość. Wiemy i widzimy, że poza rozwiązaniem chrześcijańskim, poza rozwiązaniem spirytualistycznym, nie ma innego rozwiązania, na które mogłyby się zgodzić i rozum i serce. Jeśli wiedza i filozofia — z dokładnością o jakiej sama zapewnia — to jest on bezsensem dla rozumu a wieczną raną dla serca. Wobec tej przerażającej próżni chrystianizm jest dzisiaj rewolucją rozumu i serca, obroną ducha. Jego misja w powodzi najrozmaitszych nadziei jest bardziej niż kiedykolwiek zbawcza.

O Crux ave spes unica!

Rene Grousset
największy współczesny historyk francuski
„Bilans historii" (1946)

więcej interesujący wydał mu się pospolity chłop wsi podlaskiej czy podłysogórskiej — w całości swej postawy duchowej wobec świata: swych wierzeń, przekonań, dążeń, nawet przesądów Za odkryciem regionu fizjograficznego poszło „odkrycie" duchowego życia człowieka „prymitywu", który zaczął człowiekowi z miasta, inteligentowi imponować. Kultura współczesna dała temu inteligentowi możność przebywania w świecie wielkich myślicieli, atmosferze wielkiej sztuki. Nie dała mu tylko jednego: spokoju, wewnętrznej harmonii, a więc i szczęścia. Ze zdziwieniem przerafinowany konsument wielkiej kultury odkrył w duszy ludzi prostych to, czego mu brakowało najwięcej: spoistość, jednolitość, ład wewnętrzny, płynące z tego rozumne organizowanie sobie życia, choćby nawet w zakresie spraw drobnych, — to na razie, zanim nie dojdzie do spraw większych. Wiadomo przecie, czym imponuje taki choćby Czepiec połamanemu duchowo swemu otoczeniu inteligenckiemu.

To wszystko zaczęto sobie uświadamiać później, bo zaczęło się od podziwiania Jezusików fra sobliwych, mis, ubioru, mebli, „prymitywnej" sztuki ludowej. W ten sposób dochodzi do koncepcji tzw. regionalizmu, jako zagadnienia kulturowego, które na wcześniej budzi się do życia w najwięcej efektownym optycznie regionie: Podhalu. Tam Tytus Chałubiński, lekarz, Stanisław Witkiewicz, malarz, Matlakowski, badacz etnograf, zetknęli się na serio nie tylko z przyrodą tatrzańską, ale i z ciekawym ludem góralskich Sabałów, którym się po prostu zachłysnęli. Za Podhalem zaczęto „odkrywać" „regiony" inne.

Regionalizm, o którym mowa, jest regionalizmem ludowym. Na pojęcie kultury regionalnej danego zindywidualizowanego wycinka kraju składa się również całość dorobku kulturalno - cywilizacyjnego, który wypracowały inne poza ludem warstwy narodu, z nim od wieków współmieszkające i współdziałające.

Koncepcja kultury regionalnej jest już dziś rzeczywistością kulturową, stwierdzoną empirycznie, choć jeszcze nie zanalizowaną i nie ujętą w system uporządkowanych pojęć naukowych. Wiedza o regionach jest w tej chwili nauką przyszłości: stanie się sprawą ludzi, którzy przystąpią do jej usystematyzowania, uzbrojeni nie tylko w metodę myślenia naukowego, ale również z umiłowaniem sprawy, choćby takiego Żeromskiego w „Snobiźmie i postępie". Proces bowiem przeżycia emocjonalnego, towarzyszącego percepcji pewnej kategorii zjawisk, poprzedza normalnie proces ich poznawania na drodze rozumowej. Tak jest wszędzie.

Juliusz Nowak-Dłużewski

„LONDYNISZCZE"

(Felieton)

W Anglikach mówić można tylko w superlatywach... Albo są najlepsi, najdoskonalsi, nieporównani z żadnym narodem na kontynencie; albo najgorsi, nieprawdopodobni, poniżej wszelkiej krytyki.

Malarstwo współczesne angielskie! Cóż za miernota: w salonie dorocznym w Akademii Królewskiej reprezentacyjne portrety króla i królowej. Cóż za ckliwe lila - różowe szkaradzieństwa! Nie ma tak mało kulturalnego proboszcza w całej Polsce, który by podobny kicz zawiesił u siebie w zakrystii; i oto sztychy angielskie zawsze, niezmiennie, od samego Hogartha z XVIII wieku doskonałe, wspaniałe.

Tę pierwszą moją zasadniczą uwagę, do której będę wciąż w moich felietonach powracał, uzupełniam od razu drugą zasadniczą uwagą:

Ludzie piszą „Listy z Anglii" po tygodniowym, miesięcznym, lub rocznym tu pobycie. — Ja tu mieszkam od siedmiu lat.

— I to jest straszne.

— Oni są tak okropnie nudni.

Widziałem w dzieciństwie, na jakiejś stacji kolejowej, nie pamiętam, czy to był Ciechocinek, czy Ługa pod Petersburgiem, pod szklannym domkiem - futerałem parę zapylonych lalek, sterczących tam od lat kilkudziesięciu. Wrzucało się monetę, lalki się kręciły, pozytywka rzępoliła. Bardzo mnie to bawiło, jako dziecko, gdy kilka minut czekałem na pociąg. A teraz wyobraźcie sobie, żeby tak siedem lat...

Z początku — nie rozumiałem o co chodzi i tak mnie zachwycało, że Anglicy nie boją się bomb. Zawalił się sufit na dancingu od staroświeckiej bomby lotniczej jesienią 1940 r., kilka trupiszonów, reszta Anglików stanęła w ogonku po palta i stała w tym ogonku jak zawsze. Najmniejszej różnicy. Imperium miało się zawalić lada chwila, inwazja była tuż, tuż, a rada miejska miasta na wybrzeżu, do którego Niemcy wejść mogli co godzina, debatowała na temat czy warto, czy nie warto za dwa lata przenosić miejski plac do gry w golfa. Postanowili nie przenosić.

W dzieciństwie uczono mnie, abym nigdy nie mówił o pogodzie. Rozmowa o pogodzie — tłumaczono — znamionuje człowieka poziomego, który nie ma o czym mówić. Angielskie zasady dobrego wychowania są wręcz odwrotne Tutaj rozmowa o pogodzie jest obowiązkowa, obligataryjna, rozmowa na jakikolwiek inny temat co najmniej źle widziana, ledwo tolerowana. Codzień każdemu, z kim się spotkasz, musisz powiedzieć z pewnym akcentem uznania „jaka ładna pogoda, czyż nie jest", o ile jest słońce i ze specjalnie cieniowaną melancholią „jaka brzydka pogoda, czyż nie jest", o ile słońca nie ma. Szyk wyrazów musi być zawsze niezmienny, używanie przesady w rodzaju: „cóż za okropna pogoda, czyż nie jest", dozwolone jest tylko na wypadek huraganu. Ciekawe jest także, że każdy Anglik słucha tych uwag o pogodzie, jak rewelacji i nawet czytamy pod dużymi nagłówkami w geztach, że taka, czy inna wybitna osobistość wypowiedziała swą uwagę o pogodzie, właśnie w ten sposób, jak wyżej, sformułowaną.

Te rozmowy o pogodzie mają znaczenie głębsze. Człowiek źle wychowany w pojęciu angielskim to człowiek poruszający w rozmowie tematy nieznane jego rozmówcy. Stąd rozmowa musi się redukować do kilku najbanalniejszych formułek. Zresztą najprzyzwoiciej jest w ogóle nie gadać. Na kolejach angielskich, w przedziałach klasy trzeciej jeszcze czasami ktoś coś powie o pogodzie, pasażerowie klasy pierwszej milczą, jak trupy w prosektorium. Jechałem kiedyś siedem godzin z dwojgiem młodych ludzi, nie powiedzieli do siebie ani słowa, byłem pewny, że się nie znają. Po siedmiu godzinach wyszedłem; oni się pocałowali; byli to szczęśliwi narzeczeni.

Na przekór tym prawidłom zadałem raz szoferowi taksówki pewne pytanie. Trzeba wiedzieć, że Londyn jest najbrzydszym miastem na świecie, wygląda jak wielki śmietnik i składa się wyłącznie z domów najwyżej czteropiętrowych, bardzo rzadko więcej. I tylko w jednym jedynym miejscu stoi w Londynie olbrzymi drapacz nieba, kilkudziesięciopiętrowy. Jest to nowy gmach uniwersytetu, w czasie wojny ministerstwo propagandy. Otóż zajechałem przed ten drapacz nieba i płacąc taksówkarzowi zadałem znienacka mu pytanie:

— Cóż Pan powie o tym budynku?

Taksówkarz popatrzył na mnie ze zdziwieniem, ale gdy mu sugestywnie i spokojnie powtórzyłem swe pytanie co sądzi o tym budynku, odpowiedział:

— Certainly it is a big one. (Bezwątpienia, jest to duży budynek.)

Wyobraźcie sobie teraz co by powiedział na takie pytanie taksówkarz paryski, włoski, warszawski...

Widziałem raz, jak przed postój autobusów zajechała lora z beczkami, na których siedział jakiś człowiek. Szofer od tej lory wstąpił do baru i tak ją pozostawił, że tarasowała ona całkowicie przestrzeń przed autobusem. Cóż się stało? — Konduktor wylazł naprzód i dawał znaki kierowcy: w prawo, w lewo; kierowca mozolnie próbował wyjechać. Było to jednak bardzo trudne i oto dziesięć minut trwa i autobus robi dwa obroty kół naprzód i znów się cofa. Autobus jest przepełniony pasażerami, na lorze wciąż siedzi na beczkach ten człowiek i gryzie ogórek. Nie jest on oczywiście odpowiedzialny za działania szofera, ale przecież obłajać go można. U nas by odrazu wszyscy krzyknęli: „Ty psiakrew, pijana mordo, k... baran" i byłoby lżej na sercu. To samo byłoby we Francji, czy we Włoszech i w ogóle wszędzie, gdzie ludzie nie są rybami. A tu nic.

Zaręczam was, że zachwycać się tym można przez rok, po siedmiu latach jest to strasznie nudne. Jechałem kiedyś z polskim szoferem ulicą jednokierunkową w niedozwolonym kierunku. Każdy angielski szofer, któregośmy spotkali wysuwał swą twarz i informował nas, że to jest ulica jednokierunkowa myśląc, że o tym nie wiemy. Nikt nawet „d... wołowo" nie powiedział. Przejęło to nas obu obrzydzeniem.

Ciekawe, że w opisach Londynu z przed lat pięćdziesięciu, czy siedemdziesięciu przez Francuzów, Rosjan, czy Polaków wygląda inaczej. Nawet Sienkiewicz w swych „Listach" z 1878 opisuje grubjańskie zachowanie się Anglików na ulicy, opisuje, jak jeden Anglik lżył go bez powodu, spluwając przy tym co chwila, jak na rogu ulicy widział boksujących się ludzi. Teraz tego nie ma. Nie widziałem przez siedem lat nie tylko mordobicia na ulicy, ale w ogóle nie słyszałem, aby ktoś głos podniósł. Raz, czy dwa zdarzyło mi się widzieć kłótnię dwóch bab, ale i te nie podnosiły głosu, a przeciwnie syczały tylko na siebie przez zęby.

A ta pogarda do cudzoziemców! Ktoś zapyta cię o ulicę, o kierunek, o pociąg w metro. Zaczynasz mu odpowiadać, już odwraca głowę i pyta kogo innego. Jak wiadomo bowiem akcent angielski jest nie do naśladowania i cudzoziemca poznaje się tu momentalnie, jak tylko gębę otworzy. W tym odwracaniu głowy nie ma chęci poniżenia ciebie, jest tylko głębokie przekonanie, że informacje cudzoziemca nie mogą być trafne.

Jeśli ty kogoś zapytasz odpowiedzą ci grzecznie, uprzejmie, pomogą we wszystkim. W pierwszych dniach, miesiącach, latach pobytu tutaj, zachwycasz się tą uprzejmością, wołasz, że Anglicy to Anioły nie ludzie, potem zauważasz, że uprzejmość ta zawsze jest taka sama, niezależnie od czasu znajomości, ani o ton nie mniej grzeczna, ale ani o pół tonu nie bardziej serdeczna.

Chyba, że masz pieska. U nas ludzie rozczulają się na widok małych, ładnych dzieci. Tutaj dla dzieci są bardzo grzeczni, jak dla wszystkich, ale akcenty prawdziwego rozczulenia może wywołać tylko piesek. Zresztą psy tu nie szczekają, bo z zasady są kastrowane. Jeszcze powrócę do tego tematu, że miłość i czułość jest tu zawsze połączona z sadyzmem.

Londyn, jak już powiedziałem, jest najbrzydszym miastem na kuli ziemskiej. Architektura angielska z czasów wiktoriańskich to jakieś rekordy złego smaku, a przeciętny dom na ulicy jest albo budowany za panowania królowej Wiktorii, albo przerabiany za tych czasów. Berlin i Poczdam były to brzydkie miasta, ale były to cudy piękności w porównaniu z tym ohydnym Londynem. Czy znacie pomnik Alberta, albo Russel square, albo kino Imperial na Tottenham Court Road. Jakieś bękarcie, kalekie, potworne krzyżowania wszelkiego rodzaju stylów, europejskich, orientalnych, hinduskich. W ogóle co do gustu: U nas w Polsce przeciwstawiano gust angielski gustowi żydowskiemu. Gust angielski to kostium damski, szary, spokojny, bez ozdób, nobliwy, zły gust, czy gust żydowski to pełno ozdób i krzykliwości. Otóż prawdziwy gust angielski to właśnie to. co się u nas nazywało gustem żydowskim. Spójrzcie tylko na fotografie reprezentacyjnych dam angielskich ile mają wstążeczek, falbanek, perełek, ozdóbek od siedmiu boleści. A kolory: kolor przeciętej świeżo wątroby w połączeniu ze szpinakowym...

I jedna tylko rzecz ma tu urok niezwykły, to wielkość tego miasta... Londyniszcze... Można tu jechać i jechać autobusem, czy koleją podziemną, czy autem i nigdy się z tego miasta nie wyjeżdża. Możesz sobie kompas postawić na wozie i jechać w jednym kierunku, godzinę, dwie, trzy i ciągle będą ulice z domkami z kolumienkami, ulice z domkami bez kolumienek, ulice z domkami z ogródkami, ulice z domkami bez ogródków, wszystko ciągle takie same, potem place z tymi samymi sklepami, domami towarowymi, kinami. Autobusy dwupiętrowe, czerwone linie nr 639, nr 672. To wszystko nudne, montonne, ale to jakiś koszmar, to się nigdy nie kończy. To cię przytłacza, męczy, ale zaczynasz rozumieć co to znaczy być najbardziej rozległym miastem na globie. Czasami ci się zdaje, że już z tego miasta wyskoczyłeś, ale nie! — to tylko park, po którym chodzą krowy, za chwilę będziesz miał znów fabryki, ulice z jednostajnymi domkami, te same składy towarowe, te same czerwone autobusy...

Ale ta wielkość, rozległość, pozbawiona jest wielkomiejskiej. Wielkie miasto to Paryż ze swymi gwiazdami bulwarów, ze swym ruchem, który huczy, porywa, fascynuje, jak wielki pożar. Londyn to tylko kilka tysięcy Pabianic zlepionych w jedno miejskie ciasto jakimś brudnym kitem. Plac centralny: Leicester square jest tak obskurny, że wstydziłby się takiego placu Białystok, wstydziłyby się Pabjanice...

Londyn jest straszliwie brudny. Wracasz do domu po przechadzce po ulicach i twarz i ręce masz umazane jakąś lepką miękką sadzą. Kąpać się musisz codzień i woda jest zawsze brudna. Mgły londyńskie — jak to brzmi poetycznie. W czasie tych brudnych mgieł nos i gardło masz tak zapchane, zakorkowane jakimś brudem, klejkim kopciem, że cię gardło świerzbi i boli.

I tylko gdy się idzie brzegami Tamizy to monumentalności wielkich bloków, niezgrabna olbrzymiość mostów, wreszcie tłok okrętów i żelazne dźwigi towarowe przypominają ci ten Londyn, który znasz z czasów własnej dziecinnej wyobraźni. Ot tak Londyn powinien wyglądać — mówisz sobie. Poetyzujesz wtedy: ta rzeka płynie do morza, to symbol handlu z całym światem.

Wenecja także handlowała z całym światem, ale Wenecja była piękna.

Czynnikiem, który stwarza dokoła ciebie atmosferę nudy jest niewątpliwie odmienność reakcji seksualnych tego narodu. Przepraszam bardzo, że wypowiem to w sposób zapalczywy i nieprzyzwoity, ale doprawdy wszyscy Anglicy są potencjalnymi pederastami. Za zboczenia seksualne idzie się tu do więzienia i nie chcę oskarżać tego społeczeństwa, że regularnie uprawia zdrożne praktyki. Ale genjusz tego narodu odwraca swą głowę od kobiety, nie intersuje się tym co tak bardzo ożywia Francuza: kobiecością. Jeszcze przed wojną, jak spotykałem Angielki na kontynencie, to (wtedy jeszcze z zachwytem) wskazywałem: oto są kobiety, które jak rozmawiają z mężczyzną, to nie znać, że to rozmawia kobieta z mężczyzną, tak się zachowują naturalnie, bez cienia flirtu, zalotności, czegoś takiego. — Dzisiaj konstatuję, że to moje spostrzeżenie było najzupełniej trafne, najdokładniejsze, ale że nie powinienem był się tym zachwycać. Biedne Angielki. Brak zainteresowania odbił się ujemnie na ich psychice. Są tutaj dziewczyny prześliczne o wspaniałych łydkach, anielskiej cerze, cudownych blond włosach. Mają jednak małe i nudne oczy i małe chłopięce biusty, bo jednego i drugiego nikt nie rozpłomienia. Owszem swoboda obyczajów seksualnych jest duża, jak we wszystkich krajach protestanckich, w parkach londyńskich leżą sobie objęte parki w pozach, które gdzieindziej wywołałyby na pewno interwencję policji i sprawy o zgorszenie publiczne, ale to wszystko dzieje się nie przez nadmiar normalnej seksualności, ale przez jej niedosyt, przez brak wyczucia tego smaku, radości, rozkoszy, żaru i czaru, które w innych krajach stwarza kobiecość. Anglik jest z reguły mało wrażliwy na tę stronę życia, albo też jest seksualnie zboczony. Zresztą zamknę to, co chcę w tym rozdziale powiedzieć impresją z kabaretów londyńskich. Rewja z tańcami i śpiewami na całym świecie polega na wykorzystaniu pobudliwości seksualnej, na połechtaniu tego właśnie nerwu w człowieku. Kobieca pończoszka, spódniczka — mówiło się przecież uroczyście i ściśle: muza podkasana. Otóż główną atrakcją rewji w Londynie nie jest nigdy piękna dziewczyna, których jest tu tak dużo, ale, przebrany za starszą kobietę, mężczyzna gubiący barchanowe majtki na środku sceny.

Anglia, Londyn. O! jakże inną barwę mają te wyrazy w oczach Polaków w kraju, a jak inną w moich.

Po siedmiu latach.

c. m.

Bolesław Piasecki

V)

ODPOWIEDŹ

Rzeczywistością dla ludzi jest tylko to, co wzbudziło w nich jakiekolwiek przeżycia. Rozmiary rzeczywistości są elastyczne zarówno dla całej ludzkości jak i dla pojedyńczego człowieka. Rzeczywistość nie jest czymś zamkniętym. Każde nasze nowe przeżycie może ją umniejszać lub wzbogacać. Gdy mnożą się nasze przeżycia dotyczące świata ludzkiego i pozaludzkiego, rzeczywistość rośnie w swych rozmiarach. Zapomnienie lub utrata pewności istnienia tych czy innych bytów zwęża zakres rzeczywistości danego człowieka.

Rzeczywistość w ujęciu danego człowieka składa się z sumy dostępnych dla niego przeżyć. Oczywiście — powstanie tej rzeczywistości zakłada istnienie rzeczywistości bodźców, na którą składa się wszystko, co wywołuje przeżycia ludzkie. Rzeczywistością tą jest świat i byty osobowe wzięte w oderwaniu od przeżyć, które wywołały w człowieku. Do pełnego poznania sposobu istnienia tej rzeczywistości rzeczywistości bodźców wywołujących przeżycia człowieka można tylko dążyć, nigdy zaś jej osiągnąć.

Możliwość i pewność istnienia jakiejkolwiek rzeczywistości wynika z przeżycia pewności „ja" danego człowieka o własnym istnieniu. Nawet o bytach, które istnieją w doskonalszy sposób niż człowiek, ludzie mogą sądzić jedynie w oparciu o pewność przeżycia własnego „ja". Z tego faktu, że istnieje rzeczywistość i istnieje człowiek nie wynika zupełnie żadna współmierność. Rzeczywistość stanowi dla człowieka dar potencjalny, a możliwość osiągnięcia z nią kontaktu przedstawiona być może jedynie jako zadanie. Odpowiedź na pytanie „jaki jest świat" dają ludzie w zależności od konsekwencji jakie wyciągnęli z jedynie prymitywnej oczywistości swego indywidualnego istnienia.

Sam proces życia zawiera w sobie konieczność wybierania. Zarówno wtedy, gdy chcemy, aby nam coś służyło, jak i wtedy, gdy pragniemy czemuś służyć. Dlatego każdy człowiek posiada jakiś sposób wyjaśnienia rzeczywistości. Wyjaśnienie to sprowadza się do próby ustalenia przez człowieka, w jaki sposób istnieje rzeczywistość bodźców wywołujących przeżycia ludzkie. Wyjaśnienie to będąc zależne od skali i rodzaju przeżyć ludzkich czyni rzeczywistość w ujęciu każdego człowieka elastyczną w rozmiarach. Każde nasze ujęcie rzeczywistości dokonane naturalnymi siłami człowieka stanowi tylko głębsze lub bardziej płytkie rozwiązanie zadania na temat — jaką jest rzeczywistość w samej swej istocie.

Istnieją jednakże rozróżnienia rzeczywistości objektywnej od rzeczywistości subjektywnej. Na zagadnienie to należy patrzeć podwójnie. Rzeczywistość objektywna jest najbardziej prawdopodobnym sposobem wyjaśnienia świata w zakreie dostępnym dla danego okresu ludzkości. Objektywizm ludzki jest czymś ruchomym w tym znaczeniu, że może być coraz bliższy lub dalszy zrozumienia rzeczywistości pojętej jako bodziec przeżyć ludzkich w samej istocie jej istnienia.

Np. Nauki przyrodnicze niewątpliwie uczyniły ogromne postępy. Rozwój ich, postęp w wyjaśnianiu sposobu istnienia przyrody jest jednakże tylko przybliżaniem się do prawdy na drodze znalezienia odpowiedzi na pytanie „jak istnieje przyroda". Kresu te drogi nie ma, gdyż każdy osiągnięty etap jest sformułowaniem nowego problemu.

Stwierdzić należy powtóre, że objektywizm różni się od subjektywizmu stopniem wyrzeczenia się pychy przez człowieka. Genezą objektywizmu w psychice danego człowieka jest wyrzeczenie. Twórczość ludzka mająca na celu wyjaśnienie rzeczywistości o tyle jest objektywna, o ile ma pełne intencje odkrywania śladów naśladowania na miarę ludzką aktu twórczego na zasadzie, którego powstało wszystko, co jest. Wyjaśnienie świata może być tylko osiągane przez rekonstruowanie założeń twórczości boskiej dla wierzących, czy czegoś, co ten świat stworzyło dla niewierzących. A zatem objektywizm jest wyrzeczeniem się przez człowieka pychy i samowoli w stosunku do rzeczywistości z uwagi na jakiś cel ostateczny. W określaniu jednak celów ostatecznych człowiek posiada wolność, może je określać w sposób pełny i niepełny, właściwy i niewłaściwy, dlatego w ciągu historii spostrzegatego w ciągu historii spostrzegamy różne formy objektywizmu.

Każdy jednak człowiek zna objektywizm i subjektywizm. Każdy człowiek uznaje jakiś zakres rzeczywistości objektywnej. Ta rzeczywistość objektywna powstaje w wyniku odgadnięcia, przeżycia praw istniejących poza człowiekiem, normujących stosunki w sposób niezależny od woli danego człowieka. Pewien zakres odgadnięcia tych praw niezależnych od woli danej jednostki jest już niezbędny człowiekowi dla możliwości zachowania samego życia. Stąd najprymitywniejszy cel ostateczny jakim jest możność życia wymaga także pewnego stopnia objektywizmu. W zależności od ogromnej skali możliwości obracania życia na służbę różnym celom powstają różne zakresy posiadanego przez ludzi objektywizmu.

Subjektywna rzeczywistość człowieka powstaje z elementów odgadniętej przez niego na skalę posiadanych możliwości rzeczywistości objektywnej. W świecie iluzji człowiek jednak łączy elementy rzeczywistości objektywnej w sposób dowolny. Nie ma tutaj naśladowania, zaciekłego tropienia śladów aktu twórczego, który powołał rzeczywistość. Przez fantazję człowiek próbuje nie naśladować, ale powtórzyć czy zastąpić na skalę swego rozumienia akt twórczy. Powstaje w ten sposób świat rzekomo własny, w którym rządzą prawa rzekomo stworzone przez danego człowieka. Własność świata iluzji jest w tym rzekoma, że zarówno elementy jego jak i możność ich wiązania w te czy inne układy jest dana człowiekowi przez prawa rzeczywistości objektywnej.

Jedyna jest możliwość ustosunkowania się do rzeczywistości iluzyjnej danego człowieka — ustosunkowanie się z punktu widzenia celu ostatecznego. Ludzie bowiem w swoim świecie fantastycznym, albo buntują się przeciwko celowi ostatecznemu, któremu konieczność służenia uznają, albo też nadają swemu kręgowi iluzji akcent poszukiwania. W ten sposób świat fantastyczny jest albo zdradą albo szukaniem sposobu dalszego służenia celowi ostatecznemu. Jeśli rezygnujemy zbyt wcześnie w stosunku do aktualnie posiadanych możliwości z objektywnego wyjaśniania świata, jeśli przez lenistwo ustajemy na drodze poszukiwania śladów twórczości zasady, która powołała rzeczywistość — wtedy zdradzamy przyjęty przez nas cel ostateczny. Może się jednak zdarzyć, że człowiek wyczerpie do kresu dostępny dla niego sposób objektywizacji świata, może się zdarzyć, że człowiek ten stanie na krawędzi, poza którą jest niepewność, niewiedza i niepokój. W tym momencie fantazja i iluzja stają się czynnikiem twórczym, nabierają charakteru wizji. Cel ostateczny człowieka jest obierany przez niego na podstawie wiedzy i wiary. Wizja jest próbą budowania drogi ku celowi ostatecznemu danego człowieka, ku treści jego wiedzy i wiary przez oparcie tej drogi na intuicji. Oparcie to jednak musi następować poza kresem tego wszystkiego, co w zakresie możliwości danego człowieka może być dowiedzione, lub, co stanowi przedmiot czystej wiary. Intucja rodząca wizję jest sposobem wdrożenia rzeczywistości subjektywnej do służby temu samemu celowi, który wyznacza rzeczywistość objęktywną.

Ważnym jest zaznaczyć, że granica między światem objektywnym a światem iluzji nie posiada charakteru stałości w życiu danego człowieka. Aktywność życiowa danej jednostki może sprawić, że dany element świata fantastycznego zobjektywizuje się Może też być na odwrót, że coś, co było przez danego człowieka uważane za rzeczywistość objektywną wskutek zmiany jego przeżyć pewności nabierze charakteru iluzji. Przesuwalność granicy między objektywizmem a subjektywizmem jest argumentem przemawiającym za jednością celu objektywnego i subjektywnego widzenia świata. W wypadku jedności celu świat iluzji danego człowieka wspomaga go w zbliżaniu się do tego celu w kręgu rzeczywistości objektywnej.

Stwierdziliśmy, że objektywimz w swej genezie podjętej jako metoda budowania rzeczywistości, powstaje w wyniku wyrzeczenia się dowolności przez człowieka z uwagi na przyjęty przez niego cel ostateczny. Z drugiej jednak strony wykazane zostało, że objektywizacja rzeczywistości w przeżyciu człowieka jest procesem ruchomym, polega na zbliżaniu lub oddalaniu się przyjętym wyjaśnianiem od sposobu w jaki rzeczywistość istnieje w swej istocie. Ustalone zostało także, że nie ma kresu drogi zbliżania isę do prawdy o rzeczywistości. Stąd wynika, że cel ostateczny jest stawiany przez człowieka przed wyjaśniemym. Polega ona na zbliżeniu lub oddalaniu się przyjętym wyjaśnianiem od sposobu w aki rzeczywistość pojęta joko bodziec przeżyć ludzkich istnieje w swej istocnie. Ustalone zostało także, że nie ma kresu drogi zbliżania się do prawdy o rzeczywistości. Stąd wynika, że cel ostateczny jest stawiany przez człowieka stości. W związku z powyższym twierdzić należy, że cel ostatecz człowieka powstawać musi na zasadzie intuicji i wiary wyjaśnienie bowiem rzeczywistości świata w sposób pełny jest w ogóle niemożliwym. Pozatem człowiek wyznacza sobie cel życia, przed osiągnięciem najwyższego dla niego stopnia objektywizacji rzeczywistości. Dalsze wyjaśnienie świata jest jednak w tym konieczne dla służby przyjętemu celowi, że stanowi sposób przekonania się o wartości tego celu. Wiara i intuicja, które w pierwszym rzędzie wyznaczyły danemu człowiekowi jego cel ostateczny, domagają się dla swego istnienia potwierdzenia w przeżyciach danego człowieka, że cel ten rodzi metodę sprawdzalną doświadczalnie w sposobie wyjaśnienia świata. Cel ostateczny dotąd pozostaje niewzruszony, dopóki objektywizuje pełnię wszystkich przeżyć, które tworzą rzeczywistość dostępną dla danej jednostki. Wątpliwość, czy wręcz zaprzeczenie przez człowieka uznanego przezeń wcześniej celu ostatecznego występuje, gdy cel ten nie jest w stanie zobiektywizować jakiegoś przeżycia, uczynić go współmiernym z przyjętym wyjaśnieniem świata.

Rozszczepienie aktywności człowieka między świat rzeczywistości i fantazji nakazuje stwierdzić, że zarówno przeżycia konkretne jak i przeżycia abstrakcyjne mogą należeć do dziedziny objektywnej bądź subiektywnej. Zarówno bowiem świat iluzji jak i świat objektywny jest budowany z materiału całości przeżyć ludzkich.

Zagadnienie rzeczywistości i iluzji ujęte jako rezultat wykonywania przez człowieka zadań płynących z samego procesu życia przenosi nasze rozważania do **problemu pracy i twórczości.**

KOMUNIKAT Nr II
Komitetu Nagrody im. Włod. Pietrzaka

Komitet Organizacyjny ogłoszonej przez „Dziś i Jutro" Nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka w wysokości 500.000 zł na drugim z kolei zebraniu w dotychczasowym składzie ustalił następującą definicję twórcy katolickiego, którą powinno brać pod uwagę jury przy wysuwaniu kandydatów do nagrody.

Pisarz katolicki

Dla ustalenia treści i zakresu pojęcia „pisarza katolickiego" bierzemy pod uwagę trzy czynniki: 1) doktryna, 2) życie osobiste, 3) pozytywny wkład w społecznym ruchu katolickim, najszerzej pojętym.

1. **Doktryna katolicka może być dla pisarza bądź a) punktem wyjścia bądź b) normą negatywną w stawianiu i rozwiązywaniuiu przez niego problemów. W pierwszym wypadku chodzi o rozwinięcie prawdy wchodzącej w skład katolickiego poglądu na świat i zestawienie jej, skonfrontowanie z konkretnymi prawami i przejawami życia lub z dociekaniami naukowymi w tej dziedzinie. W drugim wypadku autor wychodzi z dziedziny faktów, stawia problemy i podaje ich rozwiązanie zgodnie z obowiązującymi prawdami wiary i filozofii katolickiej, choćby wyraźnie do nich nie nawiązywał, a nawet nie wskazywał na nie.**
2. **Życie osobiste pisarza katolickiego, o ile ono podpada pod obserwacje społeczne, nie może być zaprzeczeniem głoszonych przez niego zapatrywań lub stać w rażącej sprzeczności z innymi prawdami katolickiego poglądu na świat. Tak ujęty postulat ma charakter negatywny. Jeśli zaś chodzi o pozytywny aspekt twórczości i życia pisarza, to formułujemy go, jako warunek trzeci:**
3. **Aktywność i pozytywny wkład, jako zasługa autora na polu urabiania we współczesnej rzeczywistości takiego typu Polaka - katolika, który charakteryzuje się dobrze uświadomioną (świadcma zadań) dynamiczną i apostolską (zdobyczą) postawą wobec życia (indywidualnego i społecznego), celem przetworzenia go i doskonalenia po linii naczelnych postulatów katolickich.**

Komitet postanowił nagradzać:

1. **twórczość naukową w dziedzinie humanistycznej**
2. **literaturę piękną**
3. **publicystykę,**

ustalając następującą wysokość nagród:

1. **za twórczość w dziedzinie naukowej — 200.000 zł**
2. **za twórczość w dziedzinie literackiej — 150.000 zł**
3. **za twórczość w dziedzinie publicystyki — 150.000 zł**

Jury brać przy tym powinno pod uwagę prace wydane w okresie 1945 — 1948 r. na tle całokształtu twórczości kandydatów.

Komitet postanowił powołać jury, składające się z 7 osób, co zapewni możność rozpatrywania prac w każdej z dziedzin przez 2 osoby.

Termin wręczenia nagrody i kalendarzyk dalszych czynności ustalony zostanie po powołaniu jury, którego skład ogłoszony będziew „Dziś i Jutro".

Włodzimierz Pietrzak

O NIEZROZUMIA

Jak właściwie nudno, jak niecelowe jest mówić o piękności komuś, kto interesuje się tylko pożytkiem, kto zajęty jest śledzeniem własnych interesów — lub choćby nawet — wyłącznie własnymi myślami, sobą. Egoizm psychiczny, który lubi siebie uprawniać swą odrębnością, samotnością powołaniem. Nie powinno być ludzi samotnych, samotność jest fałszywym rodzajem szlachetności i świadczy o egoizmie, albo o jakiejś klęsce. Bo rany najlepiej goją się w ciemnym i nieludzkim leśnym ostępie, dokąd nie dochodzi nawet głos ptaków, a tylko zapach iglasty.

Jednak, istnieje piękno. Jest taki urywek, nie pamiętam dobrze czyj, mo że Fernand Divoire'a, że są godziny, kiedy nawet handlarz bydła odczuwa piękno. Kiedy po załatwieniu interesów, wracając siedzi w oknie wagonu restauracyjnego i kończąc jedzenie, patrzy w zachód słońca... Może potrzeba, pisząc, być jeszcze bardziej szczerym: w życiu jest dość miejsca na kłamstwo socjalne, pisząc, nie trzeba już okrywać prawdy ani kłamstwa. Nie, samotność nie jest najlepszą formą medycyny. Lepiej leczy czyjaś piękna obecność, i to nie owe piękno, które bierze się z naszego złudzenia omamu, nie z naszego nadania: ale które jest istotnie, w rzeczywistości, w czyjejś duszy. W chęci aby być na wysokości zadania, aby sprostać obowiązkom, tak, jak się je rozumie. Nie, właściwie nie obowiązek, życzliwość dla świata nie może się brać z poczucia obowiązku, musi być zupełnie spontaniczna. Chodzi właśnie o to, co się po prostu nazywa dobrocią, wyrozumiałością dla ludzi, możliwością widzenia ich w chwilach tylko najlepszego wysiłku. Nie wtedy, gdy przypominają złą godzinę nocy czy cień złoczyńcy, padający na drogę z za pnia wierzby.

Poezja jest po to, aby rozpraszać samotność. Wychodzi na świat niewołana, jak księżycowe światło. I nie narzuca się nikomu nigdy silniej niż blask księżyca, nocą w oknie. Jeśli jej ktoś nie odczuwa, nie potrzebuje, nie może być wytłumaczona, oddana. Jest, albo nie jest.

Prawda, że sztuka jest wartościową, społeczną, nie powinna jednak prowadzić do przesądu szamańskiego, że celem poety jest tworzenie i dostarczanie wzruszeń. Jeżeli już w poezji mówić o celach, to leżą one w innym zakresie; w konieczności poradzenie sobie, w konieczności własnego ratunku. Z innej strony, fakt, iż sztuka jest wartością społeczną, prowadzi do kilku nieporozumień, które wypada oświetlić i rozciąć. Rozciąć — to jest ostre słowo, wszystko powinno mieć jakąś ostateczność. Ostrze noża, tak lub nie, wszystko i nic.

Nieraz się zdarza, że ci, którzy czegoś nie rozumieją, za wszelką cenę chcieliby zrozumieć. Nie mogą ścierpieć sytuacji, że coś pozostaje poza kręgiem ich uczuciowego czy intelektualnego zasięgu. Wtedy przychodzi człowiek, który uważa się za wtajemniczonego, za nauczyciela — i zaczyna naukę o poezji. Ograniczone są możliwości nauki o poezji: można mówić o jej historii, o rozwoju form poetyckich. Ale nie można komuś wytłumaczyć „Voyelles" Rimbauda czy drobnego wierszyka „Łakomstwo" Gałczyńskiego. Tymczasem ludzie tacy jak Irzykowski chcą zrozumieć właśnie wiersz, mniej ich obchodzi reszta, skąd się to wzięło, tylko — co to jest. Chodzi więc o wyjaśnienie, że nikomu nie można wytłumaczyć słów „ogień artyleryjski niebo z błyskawic otwierał", ani całego wiersza, choćby to był prosty z pozoru „Quatrin" Rimbauda.

Ci nauczyciele — to szamani poezji. O, nie czarnoksiężnicy; prymitywni czarownicy - kuglarze, wykorzystujący dobrą wolę naiwności i niewiedzy. Powinni wiedzieć, jeśli nie wiedzą, że są bezsilni, że używają potopu słów, które schną jak piasek po deszczu. Nie byliby nawet szkodliwi, gdyby nie to, że zapowiadają rzecz, której nie są w stanie wykonać. Nie mogąc nauczyć odczuwania poezji, prowadzą umysł niewtajemniczonych na podejrzenie, że w tej formie poezji jest jakaś organiczna właściwość, która czyni ją niemożliwą, niezrozumiałą. Istotą poezji jest to, że poezją może być wszystko, również bez ograniczeń co do formy. Nie tak, jak Irzykowski, że każdy może być poetą. To nie prawda, każdy może być tylko grafomanem, jeśli nie ma dość wstydu. Poetą — nie każdy. Ale wszystko może się stać poezją, być poezją. Tymczasem ci, którzy sądzą, że istnieją nielegalne, nieprawe formy poezji, próbują w ten świat wróżek i bezprawia wnieść kodeks formalny à la Boileau, próbują utwierdzić dogmatyczną poetykę normatywną — i ten grzech dzieli, niestety, z Irzykowskim, K. W. Zawodziński. Ich grzech estetyczny polegał na tym, że z góry wiedzieli, co może być poezją, co nią nie jest. Mieli przepisy, które pozwalały im odrzucać z góry niektóre utwory. Z punktu widzenia metod pracy krytycznej to bardzo wygodne. Ale wobec poezji — nieprawdziwe. Rzecz idzie o to, że nie istnieje jeden rodzaj poezji, ani jeden rodzaj liryczny. I pisarz, krytyk, o ile nie chce znaleźć się w sytuacji Kajetana Koźmiana, t.zn. liczyć na pobłażliwość potomnych, którzy dają mu rehabilitację przez wyrozumiałość, bądź dzięki temu, że ich Koźmian już nie obchodzi, a więc przez obojętność, — powinien z tego faktu zdać sobie sprawę.

*
**

Oh, ja doprawdy nie wiem co jest istotą poezji i to mnie nawet nie obchodzi. Pisać jeszcze jedną definicję? — to byłoby dobre w wypracowaniu. Pisać definicję, uczyć się jej na pamięć, powtarzać ze świadomością, że ta definicja nie jest warta nawet lichego wiersza, że coś pomija, coś przekręca — nie doprawdy, nie warto. Wiadomo to tylko, że istnieją dobre i złe wiersze i że ta klasyfikacja nie jest zależna od ich formalnego gatunku.

Zdarzały się w historii nieraz literackie rewolucje. Istotą rewolucji literackiej jest fakt, że dotychczasowe zainteresowania estetyczne wygasają, przestają wystarczać — i kierunek się odwraca w stronę nowego wyrazu artystycznego. W poezji mediewalnej, w „Chanson de geste", chodziło o opiewanie człowieka: jego czynów, jego cnót, jego charakteru, jego przeżyć. Poezja mediewalna nie szukała bynajmniej granicy człowieczeństwa, tego, co przestaje już być ludzkie. Miała dosyć zajęcia z człowiekiem w jego roli historycznej, z człowiekiem jako fragmentem pewnej zbiorowości społecznej. Nie zdążyła się nim zająć, jako bytem indywidualnym, jako jednostką samotną pod gwiazdami. Nie oczyszczała go z mechanicznego nalotu wydarzeń, obyczajów i legend, obywała się bez analizy; opowiadała o człowieku wszystko, co z punktu widzenia zapatrywań średniowiecza mogło mieć ważność.

Czasy odrodzenia wniosły o tyle przełomowe pierwiastki, że pogłębiona znajomość literatury antycznej udoskonaliła środki artystyczne, znienacka pomnożyła ich różnolitość i wyrafinowanie, nad to, nie bez związku z rozwojem humanizmu, powiększył się zakres kompetencji poety. Już nie tylko człowiek w środowisku społecznym, człowiek - posąg jest przedmiotem pieśni. W poezję wkrada się, a potem nad nią panuje, problematyka moralna, zagadnienie stosunku człowieka do tego, co jest poza nim. Uczucia ludzkie interesują poetów renesansu z uwagi na zjawiska zewnętrzne, które je wywołują. Poezja ta jest humanistyczna przez to, że świat widzi tylko poprzez człowieka, przez jego stosunek do zagadnień i do rzeczy.

Epoka baroku jest załamaniem tej linii rozwojowej: przerost wagi środków artystycznych w odczuwaniu estetycznym prowadzi do wirtuozerii. Człowiek znika z poezji, równie jak jego problematyka, pod naporem żywiołu ornamentacyjnego, pod naporem dekoracji. Poezja staje się opiewaniem motywów świata, świata pojętego jako zastygły ruch. Do liryki wdziera się rzecz i wytrąca z niej uczucie. Uczucie ma kochać i milczeć, w wymowie wyręcza je kunszt retoryczny i odwołanie się metaforyczne do piękności rzeczy, do czegoś bardziej zobjektywizowanego niż kruchość uczuć. Zagadnienie piękna staje się kwestią stylizacji, kwestią przemieniania lawy poetyckiej w motyw dekoracyjny.

Pseudoklasycyzm jest z jednej strony odwrotem od dekoracyjnego pustkowia, nawrotem do problematyki, którą odrodzenie wzięło jako dziedzictwo po antyku. Z drugiej strony smak estetyczny dąży w tym nurcie do ustalenia się, do ujęcia odczuwania artystycznego w normy. W owym pędzie normatywnym istnieje coś z próby zabezpieczenia się przed ekstrawagancjami rokoka, przed jałowością, której zresztą nigdy u schyłku żywota żaden nurt ideologiczny uniknąć nie jest w stanie. Z drugiej, dość naiwna wiara w wieczność form piękna, jako absolutu pozahistorycznego i przekonanie, że antyczność doszła do najwyższego rozwoju w tej dziedzinie. Zrzeczenie się inicjatywy — oto jest śmierć poezji. Nawrót do problematyki już nie tylko moralnej i filozoficznej, ale i społecznej, zrozumieć łatwo przez odniesienie literatury pseudoklasycznej do historii politycznej. Po okresie złotego dosytu i kulminacji ustroju feodalnego w okresie baroku następuje regresja. Od czasów odrodzenia na miejsce więzi wasalnej wdziera się ustrój polityczny i społeczny stato Machiavellego, państwo, reprezentowane przez panującego i zależny od niego aparat administracyjny. Barok i rokoko — to zwycięstwo absolutyzmu, olśnienie wspaniałością zdobytego położenia, świat u nóg tych, którzy mają władzę i mogą wszystko. Zabijać żonę i syna, jak książę z domu d'Esta, wkładać swoim poddanym kurę do garnka, jak królowe Francji. W XVIII stuleciu okazało się jednak, że poddani nie dostrzegają drobiu w swych garnkach przeciwnie, że nie są najbardziej zadowoleni ze swego losu, przede wszystkim na tle sprzeczności interesów między arystokratycznymi posiadaczami dóbr ziemskich, a nową warstwą przemysłowo - handlową, wychowaną przez Ludwika XIV i jego następców. Zachodniej Europie przypomina się rewolucja angielska, która sprowadziła do granic umiarkowanych swobodę polityczną dynastii i samodzielne rządy ziemian. Filozofowie szukają uzasadnionego przez rozum właściwego ustroju — i sądząc, że go odnaleźli, rozpoczynają wespół z literaturą krucjatę przeciw reg me'owi. Krucjatę poprzez zagadnienia. Spowiedź Rousseau pamflety Woltera, pisma Locke'a, Montesquieu, wreszcie encyklopedystów stanowią wielką literaturę zagadnień, poezja zmienia się w traktaty — trzysta wierszy o sadzeniu grochu, powiedzą romantycy. Lessing, Pope, Wolter sprawiają niejeden kłopot zwolennikom naklejania etykietek, kim był Voltaire: poetą, filozofem, dramaturgiem, reformatorem?

Literatura pod koniec XVIII stulecia poszła do walki, potem pióro w rozprawie musiało się cofnąć, gdy przyszło do starcia na broń białą i palną. Na barykadach Paryża padał autorytet monarchii, wiodącej się od Kapetyngów. Ulica paryska zgilotynowała historię i tradycję — zostawał sam człowiek, jako istota wolna i oswobodzona z pod tyranii. Poezja towarzyszy barykadom, zagrzewa je pieśnią, jak alkoholem, pilnuje aby rewolucja nie przystanęła. Allons, enfants de la patrie!

Romantyzm jest drugą z kolei wielką rewolucją poezji europejskiej. Jak rewolucja francuska wywróciła mury ancien regime'u, rewolucja romantyczna w szatańskim szaleństwie podarła kodeks Boileau i postawiła na jego miejsce nowe formy smaku: przeciwstawienie się uznanemu ładowi, piękność buntu, rozczarowanie i gorycz, zamiast spokojnego zadowolenia i harmonii wewnętrznej Gottscheda. Człowiek wolny, a niezrozumiały przez społeczność, nie mogący jej długo w głąb XIX wieku darować tyranii i starego porządku. Rewolucja społeczna została zlikwidowana jako bunt w okresie Restauracji, rozpoczęła osiedlać się w nowych siedliskach, uspokajać się i przystosowywać. Trwała nadal jeszcze w poezji, opiewającej niemożność przystania na formy widzialne świata, wiarę w zwycięstwo marzenia, duszę samotną i w tej samotności nigdy nie pokonaną. Poezja romantyczna wróciła do człowieka, ale przestała się nim interesować z punktu widzenia jego relacyj ze światem. Zajęła się nim samym. Inaczej jednak niż w „Chanson de geste", nie jego gestami, nie pisała monumentu czynom, lecz wewnętrznym ludzkim walkom i przeżyciom.

Poezja romatyczna stworzyła dopiero poetycki świat wewnętrzny — i w nim opiewała samotność człowieka, jego skazanie, potępienie, które sam na siebie rzucił. I bezsilność marzenia. To był właściwie paradoks: poezja, zrodzona z buntu, którego podglebie stanowiła zwycięska rewolucja, nie zdolna była do odczuwania uczuć ostatecznych — ani rozpaczy, ani szaleństwa, ani nawet tego zwątpienia, które we włoskim języku pięknie nazywa się la pazzia. Bezpośredniość uczucia, szczerość artysty wydobywała tylko smutek rozczarowania, gorycz pełną melancholii, ową jesień burgundzką, w której słońce jest osnute przezroczystymi mgłami. Romantyzm wypowiedział wojnę wszechpotężnemu rozumowi racjonalistów XVIII wieku, pomniejszył go we Francji aż do czasów trzech regentów. Poezja romantyczna podjęła się prowadzić swoją epokę, przeżyć za nią w obrębie strofy tę mękę moralną, o której z grzmiącą emfazą pisał Hugo, jak nasz Mickiewicz. Pozostało po niej zmęczenie, pozycja zamierania. Niewiara w rzeczywistość, będącą w gruncie rzeczy, jeśli nie żywiołem wrogości, to lasem symbolów. Poezja zajmuje się odcyfrowaniem symbolów, staje się coraz bardziej hermetyczna, coraz bardziej „wieżą z kości słoniowej", poeci dochodzą do koncepcji sztuki dla sztuki, poezji dla siebie samej. Poeci symbolizmu nie wierzą zresztą, aby sztuka mogła dać poznanie. Przeżywają rozpacz szaleństwa, jak Verhaeren, jak Kasprowicz, zwątpienie, któremu usiłują dać kształt cyniczny, jak Baudelaire.

Jesteśmy u końca zamierającej rewolucji romantycznej w poezji i blisko nowego przełomu, kto wie czy nie większego w rozmiarach i następ-

FILMY I RECENZJE

Ubiegłe tygodnie przyniosły — nazwijmy to tak — pewien sukces „Filmu Polskiego". Oprócz kilku dobrych obrazów na wysokim poziomie (ostatnio „Niepotrzebni mogą odejść") na ekranach pojawiło się szereg filmów rozrywkowych po obejrzeniu których widz, szukający po prostu wytchnienia nie wychodził ze zgrzytaniem zębów — wręcz przeciwnie mógł spędzić nie nudząc się dwie godziny seansu.

Przede wszystkim więc atrakcyjny bo barwny „Dwaj panowie F" miły bezpretensjonalny wodewil kręcony w kolorach i wykorzystujący umiejętnie możliwości koloru; w uzupełnieniu dobra (również kolorowa) kreskówka. Dalej „Piękna przygoda" — operetkowa fabuła przygód dwóch par pełna lekkiego francuskiego żartu, „Mężczyźni w jej życiu" typowy amerykański film rozrywkowy z gatunku lepszych. Na koniec dwa sensacyjne: „As wywiadu", wyróżniający się żywą i ciekawie pomyślaną akcją i „Tajemniczy nieznajomy" — szpiegostwo na wesoło. (Ciekawy trick głośnego monologu myśli pod czas gdy bohaterka siedzi nieruchomo, wyrażając je tylko mimiką).

Interesujące zjawisko można obserwować w kinach warszawskich. Film rozrywkowy, czy sensacyjny ma zapewnioną „kasę" i ogonki — chociażby był taki mróz, jak w czasie zeszłych tygodni. Natomiast na wszystkich ostatnio pokazywanych filmach wymagających pewnego poziomu od widza tłumów nie było.

Czy można to tłumaczyć brakiem publiczności o wyrobionym smaku artystycznym? — W Warszawie, w której więcej jest teatrów (dobrze prosperujących!) niż kin?

Wydaje się, że jest tu łańcuch szeregu przyczyn. Bardzo ważnym jest zagadnienie polityki filmowej i jej skutki — przeciętny poziom filmów zraził już niejednego. (Reszta chętnych wybiera teatr mając tam możliwości zobaczenia dobrego przedstawienia bez ryzykowania całości swoich żeber — szczególnie zła organizacja w Atlantiku. Obrazy są zmieniane szybko, za szybko. Przy szalonej popularności jaką cieszą się nieliczne warszawskie kina zmiany te nie mogą być uzasadnione brakiem powodzenia. Natomiast niewątpliwie można by zrezygnować z szeregu słabych pozycji na rzecz mniejszej ilości, ale dobrych. Z tempem zmian związana jest kwestia informacji. Zanim zdążą się ukazać recenzje, a publiczność zorientuje się, to na ekranie jest już coś innego. Nie można przecież brać poważnie omówień przyszłych filmów zamieszczanych w tygodniku „Film" — piśmie noszącym charakter reklamowy (coś jak programy radia amerykańskiego na zakończenie, których następuje wezwanie „kupujcie tylko skarpetki firmy Smith & Smith, której zawdzięczacie zakupienie tej audycji").

I tu dotykamy innej strony tego zagadnienia. Brak jest rzeczowej recenzji. Nielicznych fachowych krytyków rzadko widać na łamach prasy. (Czy pomyślano np. o tym, żeby zapewnić im passepartout?) Brak jest spojrzenia na film, jako osobną sztukę—a nie tanią rozrywkę, o której „wartości" stanowi np. emocjonująca akcja. Jednocześnie modne jest obecnie doszukiwanie się tendencji. Przeciętny film (zwłaszcza przeznaczony na użytek wewnętrzny). W większości jest pomyślany tylko i jedynie jako rozrywka, podstawą jest nie jego ideologia, ale kasowość — a niebezpieczeństwem, nie raz bardzo niski. poziom. Wyjątkami są obrazy takie, jak „Myszy i ludzie", (którego centralnym zagadnieniem był zresztą nie wyzysk robotników przez pracodawcę, ale problem niesprawiedliwości przedstawionego systemu społecznego).

W Expressie Wieczornym (24.2) ukazała się recenzja podpisana . Kar. b. o filmie angielskim „Tajemniczy nieznajomy" (I See a Dark Stranger). Recenzja traktuje dwa filmy ostatnio widziane w Warszawie „Tajemniczy nieznajomy" i „Niepotrzebni mogą odejść", jako pewien cykl propagandy anty - irlandzkiej. Otóż pomijając błędną interpretację filmu „Niepotrzebni moga odejść", któ-

ŁOŚCI POEZJI

stwach, polegającego na oderwaniu się od całej dotychczasowej tradycji poezji. Dotąd jeszcze Irzykowski rozumie poezję, za chwilę się z nią rozstanie, jak ślepiec z widokiem kolorów. Poezja europejska po Baudelaire'a jest oparta o wiarę w możliwość poetyckiego poznania świata. Dadzą się z niej wyprowadzać wnioski, które, tłumaczone na język komunikatywny, mogą znaleźć w życiu praktyczne zastosowanie. Ambicją poetów pseudoklasycznych, jak Pope i romantycznych, jak Goethe jest dotarcie do prawdy. Do prawdy dziejów, do prawdy uczuć; tego się przyzwyczajono szukać w poezji wielkiej, poezji klasycznej. Oczom epigonów romantyzmu prawda wydała się już nieosiągalna, zrezygnowali z niej na rzecz szukania nastrojów, owych chwil, których nie można sprawdzić, a które mogą być tylko uchwycone we wzruszeniu i razem z nim odchodzą. Jeszcze dla Beaudelaire'a poezja była poznaniem. Już nie poznaniem prawdy ostatecznej, lecz przynajmniej prawdy wewnętrznej, ukrytej w człowieku, w jego świecie psychicznym. Poprzez nieszczerość wypowiedzi, poprzez analizę maski cynicznej, cynicznej, bo okrywającej nieszczęście i zabłąkanie, można dotrzeć do szczerości wewnętrznej, do tego, co się myśli, a czego się nie mówi, czego się nie pisze. To Baudelaire. On kończy dynastię, Mallarmé i Rimbaud zaczynają nową.

Zmiana dynastii objawia się z wygaśnięciem pojęcia poezji jako pozafilozoficznego intuicyjnego poznania prawdy. W tym ujęciu prawda nabiera cech eschatologicznych. Nie można dotrzeć do prawdy, ktoś, kto by do niej dotarł, dotarłby do krawędzi, musiałby rzucić się w przepaść, albo oszaleć, albo zamilknąć — może dlatego Rimbaud był najbliżej tego bieguna śmierci. Prawda jako synonim śmierci, jako zamknięcie istnienia. Poezja po Baudelaire'a była pieśnią o istnieniu.

Od Mallarmé i od Rimbauda nie jest pieśnią, nie obchodzi jej istnienie, na to zdanie powinien zwrócić uwagę równie Irzykowski, jak Zawodziński. Thibaudet głównego sprawcę rewolucji, czołową jej postać widzi w Stefanie Mallarmé. Mallarmé stał u kresu, u wyczerpania nurtu tam, gdzie rzeka wpływa w piasek pustyni. Nie miał już nic do opiewania w tym pustkowiu, które mogło się stać ostatecznością, gdyby nie magia poezji. Siłą czarnoksięską — przez magię słowa — poezja od czasów Mallarmé decyduje się żyć ze siebie samej, nie dba o poznanie istotnego sensu rzeczy. Nie ma nic do zakomunikowania, jest buntem spokojnym przeciw niedoskonałości świata, odwróceniem się od niego jak człowiek zmęczony widokiem przypływu odwraca twarz od widoku morza. Ma dać nowe dzieło stworzenia, nową rzeczywistość — już tylko poetycką. Słowo staje się w niej zaklęciem magicznym, niczego nie wskrzesza, niczego nie odtwarza, tworzy przed zamkniętymi oczami nie igraszkę i nie przygodę — nowy świat, który inaczej niż świat zmysłów nie ginie, nie ulega prawom żadnej fizycznej przewagi, ani biologicznego zniszczenia. Istnieje. Rimbaud dąży do spojenia sztuki i mistyki, sztuki i buntu przeciw moralności, przeciw kulturze, aby doznać doświadczeń mistycznych poezji, ową liberté totale de l'esprit, o której pisze w „Une saison en enfer".

Poezja przełamała zaklęte koło, wydobyła się z opłotków życia i nie służyła jako igraszka pro arte, ani nie była zamkniętą wieżą, z której ptaki spłoszył dzwon. Była teraz naprawdę dla siebie. Dla niej nie będzie końca świata.

∴

Bunt poezji mallarméańskiej przeciw poznaniu, przecięcie węzłów bezpośredniości między rzeczywistością poetycką a rzeczywistością zmysłów, uwydatnił w poezji — i niesłychanie podkreślił — rolę języka jako formuły, zastępującej rzeczywistość. Ogniwem starej poezji było wzruszenie. Wzruszać może to tylko, co jest zrozumiałe, co przeszło przez poznawcze stadium wrażenia. Inna jest funkcja wyrazu artystycznego w poezji nowej. Jest on oparty o magie zaklęcia, jest rodzajem wyboru jednej tylko drogi spośród rozdroża, spośród chaosu; w pewnym sensie rezygnacją, rezygnacją z chaosu, ale i ryzykiem; ryzykiem stworzenia czegoś nowego, czego przedtem nie było w istnieniu, w niepewności, czy ten akt stworzenia się uda. „L'élan d'une poésie est dans l'invention l'avanture et l'air en mer" — spowiadał się któryś z poetów fracnuskich nowej generacji. To wyznanie odsłania psychologiczny rodowód ekstremizmu w nowej poezji, sprowadzającego się w istocie do tego, że traktuje się eksperyment jako przygodę poetycką. W ekstremizmie następuje potem druga faza, kiedy eksperyment musi zostać uzasadniony teoretycznie. Jest to zjawisko dość szczególne, że oni wszyscy, herezjarchowie nowej poezji, od Apollinaire'a poprzez Marinettiego, Tristana Tzarę, Bretona, do Peipera i Przybosia, czuli konieczność dodania teoretycznych asekuracji do swoich utworów. Nie byli pewni przyjęcia, nie byli pewni, czy zostaną z r o z u m i a n i. Nie dowierzali — jakby to powiedzieć? — poetyckiej atrakcyjności eksperymentu, czy też obawiali się nieprzygotowania słuchaczy. Nigdy nie napisano na temat poezji takiej powodzi manifestów, artykułów, rozpraw, essayów, polemik, co w pierwszej ćwierci XX stulecia. Wewnątrz rewolucji mallarmeańskiej następowały ustawicznie nowe zamachy stanu, nowe przewroty pałacowe — jakby przełom nowej poezji polegał także na tym, że otwierał stan permanentnej rewolty w liryce. Te wszystkie szkoły od szeroko znanych futurystów i nadrealistów po różne mniejsze, po muzykalistów, po szkoły, którym się nie udało. Bohema, która przeżyła swoje rojenie jak pszczoły, zbierające się do opuszczenia ula, do założenia nowych pni, ekstremiści w podartych ubraniach, mający w pięcie Kolumba i kosmos. Skrajności w rodzaju pomysłów futuryzmu i nadrealizmu istotnie bardzo utrudniły dla osób stojących poza klanem odczuwanie nowej poezji. Już nie tylko język poetycki, inny od komunikatywnego, ale i komplikacje nieraz dość mechanicznej natury stały na straży niedostępności poezji. Trudno się przedrzeć nieuprzedzonemu czytelnikowi, szukającemu jakiegoś euklidesowego sensu, przez utwór, który nie jest pojęty w kategoriach Euklidesa, a w dodatku jeży się anarchią „słów o wolności" czy — jakby zaporami dla czołgów — elipsami i metaforami, odrywającymi go od wszelkiego związku bezpośredniości uczuć. Wydaje mi się, że nie było sensu namawiać awangardzistów, aby pisali inaczej i prościej. Nie ulegając tym namowom, odcinając się bardzo energicznie w prawo i w lewo, czuli się oni męczennikami wielkiej sprawy swojej poezji i jej niesłychanej niezrozumiałości. Brnęli nawet dalej w tym uporze, niż było potrzeba; każde prześladowanie tworzy fanatyków.

Rewolucja, która zaczęła się w imię odnowienia poezji zużytej i zbanalizowanej, zbyt łatwej estetycznie w odczucia grup zrewoltowanych, przyniosła twórczość, która z kolei stała się niezrozumiała dla znakomitej większości czytelników i ta niemożność uzyskania dostępu do słuchaczy stała się dla wielu nowatorów silnie przeżywaną tragedią. Wielu z nich rezygnowało z rezonansu i pisało przede wszystkim dla siebie. Inni, przeciwnie, stawali się apostołami nowej poezji jak nowej wiary i ci nieraz popadali w śmieszność, uważając, że uprzystępnić zdołają swe utwory, jeżeli wytłumaczą znaczenie i sposób użycia tych czy innych środków artystycznych. Część publiczności, obdarzona lepszą wolą, rozumiała nawet przepisy, ale nadal nie rozumiała wierszy, gryzła je w zębach i odrzucała. Inni wreszcie rezygnowali — jak dalece szczerze? — z tego, aby być zrozumianymi. Pragnęli być tylko odczutymi, co w końcu jednak na to samo wychodzi. Nie można bowiem, nie rozumiejąc, odczuwać, o ile się chce wyjść o stopień dalej poza nastrój, ogarniający Europejczyka, nie znającego języka ani reguł kultu w czasie obrzędu religijnego w bramańskiej świątyni.

Dziś ta sprawa jest zupełnie nie ostra. Publiczność literacka zajmuje się na ogół czym innym, w poezji ekstremizm formalny uległ likwidacji. Najbardziej skrajni ekstremiści przegrali i ich utwory przeszły do literackiego muzeum. Ich wynalazki techniczne zostały przyswojone w postaci dużo łagodniejszej i przystępnej — jak np. w wierszach Gałczyńskiego — i podchwycone przez tych, którzy trzymali się w drugim rzędzie rewolucji poetyckiej. Kiedy pierwszy rząd został wybity, drugi wyszedł na czoło i jego kompromisowość dziś już nie razi. Jest na tyle jeszcze ostra, że unika banalności. Na tyle złagodzona, że przystępna.

Tym niemniej, warto sobie zdać sprawę, że istotę rewolucji w poezji na przełomie XX stulecia stanowiła rezygnacja z wszelkiego poznania, z obowiązków, które miała poezja romantyczna: wyrażać i tłumaczyć ludzkie uczucia, odkrywać rzeczywistość, rozwiązywać zagadnienia moralne. Sztuczki futuryzmu i formizmu, metaforyzm awangardy krakowskiej, podkład psychoanalityczny w nadrealiźmie — to wszystko były rzeczy drugorzędne, szczudła, podczas gdy istotny jest sam proces chodzenia. Ważne jest natomiast, że ta rewolucja oddzieliła w sposób ostateczny język poetycki od języka komunikatywnego, potocznego, nadała mu odrębność samoistną. Język jest systemem środków wyrażania, przystosowanych do pewnego celu. Współczesna nauka — mam na myśli wydawnictwo „Travaux de Cercle Linguistique de Prague" (Thèses 1929) — rozróżnia trzy systemy językowe: język intelektualno-komunikatywny o przeznaczeniu społecznym, język emocjonalno-ekspresyjny, służący do wzbudzenia specjalnych uczuć w słuchaczu i język poetycki. Szkoła praska zwraca uwagę na odrębność fonologii i morfologii języka poetyckiego, gdzie sens komunikatywny zostaje całkowicie zatracony. Język, który ma sens magiczny; tworzy system znaczeń, nie mających w rzeczywistości żadnego odpowiednika, wyprowadzonych nie tyle ze świadomości, ile ze stanu zaczarowania — i sam będący magią. Ta magia ma jednak swą genezę, genezę d'une poésie maudite. Poezji przeklętej jak poetą przeklętym był ojciec duchowy poetyckiej generacji, Rimbaud. Bierze się ona z rozczarowania ostatecznego, ze zwątpienia, które przeradza się w szaleństwo; byłaby szczęśliwa, gdyby umiała się poddać, ale właśnie jest nonkonformistyczna, sektancka. Tak, to sekta zrozpaczonych, którzy walczą, nie wierząc nawet w wynik walki, licząc jednak na nieprzewidziany cud, który może na powrót otworzyć od poezji czystej — drzwi do realności. Tę próbę dojścia do rzeczywistości podjęli nadrealiści, wstępując masowo do francuskiej partii komunistycznej. „On sait maintenant que la poésie doit mener quelque part". Nic bardziej niż nowa poezja nie zdradza ducha nowych czasów. Nie, ta poezja jest zrozumiała, a jednak pojedyńczych wierszy nie należy nikomu tłumaczyć. Ona mówi o tym, czego większość jeszcze nie wie, jeszcze sobie nie uświadamia: o katastrofie cywilizacji materialistycznej dobrego XIX stulecia, o bankructwie bogatego człowieka, który był egoistą, i miał mnóstwo możliwości zużycia swego bogactwa. Ale był egoistą, szukał ostatecznej miary szczęścia w sobie, nie poza sobą. Bał się spętania przez kajdany i nałożył sobie łańcuchy od wewnątrz. W gonitwie od postawy do postawy, od stylu życia do sposobów znajdowania przyjemności, od zasady władzy do zasady obojętności i wyrozumiałości wobec wszystkiego, zgubił się i rozproszył. Nowa poezja jest przepowiednią o katastrofie i męką, aby katastrofy uniknąć. W nienawiści do les temps des assassins sama stała się w sztuce morderczynią: zabiła w literaturze poczucie ładu, stała się tak nieskoordynowana jak dusza ludzka, z której wyrosła, z której wydostała się nie jako pieśń, lecz jako improwizacja w stanie szaleństwa, jako zwierzenie flagellantów, pełnych rozpaczy, że nie mogą być w normalny sposób szczęśliwi.

Katastrofa potem nadeszła. A później, co będzie później? Nie wiadomo nigdy jaką postać przybierze człowiek i jego los, gdy przyszłość się jeszcze nie rozpoczęła. Poezja powinna dokądś prowadzić.

Błąd Irzykowskiego w rozumieniu nowej poezji na tym zapewne polegał, że Irzykowski chciał rozumieć w sensie komunikatywnym poszczególne wiersze, nie biorąc pod uwagę wielkiego przewrotu w poezji. Od tego przewrotu należało zacząć, wtedy wiersze stałyby się dużo jaśniejsze, byłoby wiadomo, o co w nich chodzi. Tymczasem cała batalia literacka o poezję, rozegrana przez Irzykowskiego, staje się w głównej osnowie zagadnienia — bezprzedmiotowa jak strzelanie do ptaków, na które się nie poluje.

---

ry według autorki recenzji ma przedstawiać upodlenie społeczeństwa irlandzkiego i na tym tle niepotrzebność bohaterstwa, film „I See a Dark Stranger" ma być rzekomo dalszym krokiem w zohydzaniu irlandczyków.

Walka o niepodległość Irlandii, której komplikacje przedstawione w „Odd Man Out" powinniśmy szczególnie dobrze rozumieć, jest nam wszystkim ogromnie bliska i naturalnie całym sercem jesteśmy po stronie irlandczyków. Natomiast z chwilą wybuchu wojny nasz stosunek do Irlandii ulega chyba pewnej komplikacji. Wolna Irlandia nie jest w stanie wojny z Niemcami, nie zrywa z nimi stosunków dyplomatycznych. Uzasadniona nienawiść do Anglików wpływa na to, że przez dłuższy czas sympatie Irlandczyków są po stronie niemieckiej. Wypadki współdziałania Irlandczyków z wywiadem niemieckim były szczególnie w pierwszych latach wojny częste i prawie każdy Irlandczyk przeżywał konflikt między nienawiścią do Anglii i wolno narastającym zrozumieniem niebezpieczeństwa imperializmu niemieckiego.

Film „I See a Dark Stranger" jest komedią, która w specyficzny sposób te wszystkie problemy rozstrzyga. Młoda dziewczyna, której ojciec walczył z Anglikami w ostatecznych zmaganiach o niepodległość Irlandii wychowana została w nienawiści do wszystkiego co angielskie. O Niemczech ani nic nie wie, ani się problemami politycznymi nie interesuje. Jedynym zagadnieniem politycznym pod kątem którego ocenia wszystkie wypadki jest historyczna krzywda ojczyzny i nienawiść krzywdziciela.

Recenzentka „Expressu" pisze: „Irlandczycy w ujęciu tego filmu to ludzie, którzy sami nie wiedzą czego chcą, tchórze sławiący się niedokonanymi czynami, blagierzy, którzy nabierają głupców". Otóż ojciec opowiadający o swoich wyczynach i przejaskrawiający je nie reprezentuje, i nic w filmie tego nie sugeruje, konspiratorów irlandzkich. Nie wynosi się ponadto wrażenia, że wszystko wyssał z palca, przeciwnie jesteśmy przekonani, że na pewno walczył w obronie praw swego kraju, a że koloryzuje i bawi przyjaciół historiami, których nie było to mu wybaczamy. Bynajmniej nie wynosimy przekonania, że cała walka o Irlandię była podobnym bluffem. O tchórzostwie Irlandczyków też trudno mówić, mała Irlandia wplątana w akcję szpiegowską okazuje wiele imponującej odwagi. Dyrektor muzeum, były konspirator, również nie robi wrażenia blagiera.

Główna bohaterka filmu, pragnąca wnieść coś w walkę z Anglią, a nie zyskując aprobaty rozsądnych ludzi z własnej inicjatywy oblewa farbą pomnik Cromwella, a następnie przypadkiem zostaje wciągnięta w akcję szpiegowską. Niemiec wygrywa jej nastawienie antyangielskie. Akcja filmu poprowadzona jest w ten sposób, że ten jej udział nie daje szpiegom niemieckim żadnego efektu pozostaje więc w granicach jej własnego konfliktu i tym samym pozwala nam utrzymać do bohaterki filmu stosunek sympatii. Autorka recenzji „Expressu" w zapale swojej doktryny, którą narzuca czytelnikom zapomina, że nierównie więcej od niewinnie blagującego ojca ośmieszeni są dwaj oficerowie angielskiej policji, których farsowość rzuca się w oczy. Młoda Irlandka dostając papiery szpiegowskie i poznając ich treść niszczy je uświadamiając sobie, że od jej decyzji zależy powodzenie ofensywy angielskiej i życie tysięcy Anglików i Irlandczyków. O tym jak bardzo nieświadomy i przypadkowy był jej udział w akcji szpiegowskiej świadczy jej przyznanie się do tego i przerażenie po uświadomieniu tego co pod wpływem zapału zrobiła. W pełni świadomie i dzielnie niezdradza swoich wiadomości, prześladującym ją Niemcom.

Być może, że pod wpływem recenzji „Expressu" recenzent „Życia Warszawy" (26 2) pisze: „pozorna bezstronność wyrażająca się w sarkastycznym zilustrowaniu wad angielskiego kontrwywiadu nie zdoła nikogo wyprowadzić w pole. Może to być bowiem potraktowane również jako przestroga, że ociężałość służby bezpieczeństwa i policji są tylko pozorne, a imperium brytyjskie zawsze zdoła w czas uporać się ze swymi wrogami, tak jak to się stało w finale tej emocjonującej opowieści". Tutaj imperium brytyjskie z niczym się nie uporało. Irlandka została wpuszczona w ręce Niemców i od jej decyzji tylko zależał los dokumentów — na niewydanie ich imperium wpływu nie miało.

Recenzje takie, jak omówiona wyżej niejednokrotnie całkowicie wypaczają charakter i wartość filmu. Znika zaufanie do recenzenta.

Reasumując te refleksje: istnieje potrzeba dobrej oceny i dobrych filmów. Zagadnieniem chwili jest umożliwienie pracy fachowym krytykom.

Jako zaś odpowiedź ze strony „Filmu Polskiego" chętnie byśmy zobaczyli na łamach „Filmu" wypowiedź ustalającą program nie filmowy, ale kulturalny. Konkretny program pracy tego przedsiębiorstwa w zakresie upowszechnienia kultury. Dla uniknięcia nieporozumień: nie chodzi tu nam o akcję kin objazdowych itp. — ale o jakość pokazywanych filmów, ich poziom, kryteria doboru. Kino jest jednym z najpotężniejszych czynników oświaty i kultury i musi być w pełni wyzyskane, a jego możliwości gruntownie przemyślane.

Być może, że jest taki program. W tym wypadku niestety musimy stwierdzić, że nie został on udostępniony szerokiej publiczności, co gorzej, w praktyce (dobór filmów) nie nasuwa przypuszczeń o jego istnieniu. Chcielibyśmy móc przedyskutować jego tezy, dowiedzieć się co stanęło na przeszkodzie ich realizacji.

Jeszcze jedna drobna uwaga. Na terenie „Filmu Polskiego" został ogłoszony wyścig pracy. Nie we wszystkich dziedzinach wystarczyć może ilość. Dotychczas wyścig ten objął prace przy dekoracjach — co będzie jeśli przejmą jego hasła również realizatorzy?

Proponujemy raczej rozpoczęcie (zwłaszcza biorąc pod uwagę poziom dotychczasowej produkcji długometrażowej) współzawodnictwa pod hasłem jakości.

Leszczyńscy

PRZEGLĄD TYGODNIKÓW

Spójrzcie na tytuły! Jeden brzmi: Przyczyny zastoju, drugi: Sprawa obojętności kulturalnej. Trzeba zbadać gdzie panuje zastój i kto dotychczas zachował obojętność kulturalną. Na pierwszy rzut oka nagłówki tych artykułów brzmią zgodnie i konstatują to samo, ale kto zacznie je porównywać na pewno dojdzie do wniosku, że Natanson jest inteligentniejszym pisarzem od Dudzińskiego.

Dudziński nie daje żadnego bilansu dotychczasowej dyskusji o literaturze. Zamiast rozprawić się z argumentami, które już padły po drodzę powtarza raz jeszcze te najbanalniejsze i dawno już załatwione. Irzykowski miał rację, gdy twierdził że polemiki literackie w Polsce nigdy się nie sumują, bo każdy napoczyna temat od początku zamiast włączyć się planowo i konsekwentnie w ciąg dalszy. Ta niezdolność myślenia w sposób zespołowy jest już właściwie dziś anachronizmem i uznana być musi za przeżytek wywodzący się z epoki kapitalistycznej. Czy poto Żółkiewski wyliczył cały szereg książek najściślej związanych ze współczesnością, by w dalszym ciągu gołosłownie i bezpodstawnie dowodzić, że literatura mimo wszystko nie dotrzymuje kroku wydarzeniom. Jeżeli wszystkiego nam mało to czego właściwie żądamy. Czy też pretensje nie powinny być sformułowane w sposób bardziej konkretny i ścisły.

Jedno jest jasne. Powstała atmosfera niedosytu i rozczarowania. Pozornie przezwyciężone zarzuty znowu powracają. Dyskusja toczy się z jakimś manjackim uporem i osiągnęła już swój martwy punkt. Pławimy się w stojącej wodzie i gdyby nie to, że odezwał się Natanson i Wat śmiertelna nuda towarzyszyłaby mętnym pretensjom, które niczego nie wyszczególniają. Pod hasłem znacie to posłuchajcie rozpoczynamy ten przegląd zagadnień. Chociaż artykuł „Przyczyny zastoju" nie wnosi elementów ważnych kulturalnie, jest on ze stanowiska socjologicznego symptomatem niezwykle ciekawym.

Dudziński tak to oświetla:

W toku trwającej od szeregu miesięcy dyskusji w sprawie błędów i niedostatków naszej literatury powojennej zwrócono m. i. uwagę na fakt godny zastanowienia: że — mianowicie — wielu spośród pisarzy, którzy w czasach przedwojennych reprezentowali idee społecznego postępu, walki z uciskiem i protestu przeciwko ówczesnej rzeczywistości, ujawnia dziś aktywność znacznie zmniejszoną albo milczy, albo też przemawia głosem, nie harmonizującym z potrzebami i nadziejami ludu.

Innymi słowy, pisarze, którzy w epoce przedwrześniowej, nie bacząc na trudności, szykany i represje, kroczyli śmiało na czele rewolucyjnych i reformatorskich zastępów, dzisiaj, gdy chodzi już nie o walkę, protest, bunt i negację, ale o afirmację nowego bytu i współpracę w jego utrwaleniu, zwijają jak gdyby skrzydła i nie dotrzymują swą twórczością kroku nowym zadaniom literatury polskiej.

Żółkiewski dowiódł, że dotrzymują. Zastrzeżenia jego są precyzyjniej sformułowane i dlatego można z nimi dyskutować.

Redaktor „Kuźnicy" tak pisze:

Pisarze nasi nie biorą za punkt wyjścia centralnego problemu przemiany naszego społeczeństwa. Piszą swe dzieła tak, jakby wybrany przez nich problem uboczny był centralnym. Nie widzą jego związków z całością historycznych przemian. Fałszują w ten sposób obraz sprawy. Mamy np. szereg powieści o izolacji inteligentów od mas i ich walki społecznej. Napisane są one tak, jakby centralnym problemem naszej epoki było owo zrywanie inteligentów ze swoja izolacją. A przecież ten problem da się pojąć prawdziwie tylko jako fragment zasadniczej przemiany historycznej naszego społeczeństwa. Można mu oczywiście poświęcić niejako monograficzne studium powieściowe, ale trzeba rozumieć, że pokazuje się tu część większej całości, trzeba uwydatniać te związki z całością. Podobnie mamy szereg książek o losie młodzieży inteligenckiej w czasie wojny. Przemiany polityczne i małe rozczarowania tej młodzieży, pojęte są znów jako problem centralny, sam dla siebie naszej współczesności, problem tłumaczący się w oderwaniu od całości przemian naszej epoki. I tu mamy tak samo błędny rezultat, tak samo fałszywy obraz. Należy oczekiwać, że nowa nasza powieść będzie pokazywać dolę wybranych bohaterów i środowisk wychodząc od centralnego problemu naszej epoki walki wyzwoleńczej mas pracujących. Tylko oświetlenie losów dowolnego środowiska przy pomocy tego historycznego ogniska współczesności rzuci na nie prawdziwe światło.

Uchwyćmy nareszcie ten centralny problem. Wyczuwa go chyba najlepiej Włodzimierz Sokorski, który w „Kuźnicy" napisał:

Przyjrzyjmy się bliżej temu, o co się toczy dzisiaj walka, walka trudna i uporczywa, która wypełniła już blisko połowę naszego stulecia.

Jeżeli powiemy, że zagadnieniem mobilizującym za i przeciw społecznej rewolucji, jest nacjonalizacja przemysłu, to zamkniemy w tej definicji niewątpliwie część prawdy, lecz bardzo jeszcze daleko będziemy od prawdy całkowitej.

Jeżeli powiemy, że tym problemem będzie reforma rolna, to również nie zbliżymy się do wyczerpania jej całej istoty.

Jeżeli powiemy, że walka toczy się o klasową treść władzy państwowej, to chociaż zawrzemy w tym pojęciu bardzo wielką prawdę, lecz jeszcze nie prawdę całkowitą.

Bo w istocie rzeczy walka toczy się o pozycję człowieka, o jego rolę historyczną, o jego prawo do świadomego budowania swojego własnego życia, o kolejny proces wyzwolenia człowieka.

Powróćmy jednak do spraw literatury. Pragnienie afirmacji nowych form istnienia zespala Żółkiewskiego z Dudzińskim. Środowisko marksistowskie trawi dotkliwy głód apoteozy w artykule wyżej zacytowanym czytamy:

W jednej ze swoich satyr Leon Pasternak sformułował lapidarnie trudności współczesnej afirmacji literackiej:

„Wiesz: nie sztuka być dziś anty, lecz sztuka właśnie jest być pro". Ta „sztuka" — jak się zdaje — nie dla wszystkich jest dostępna, z jej trudnościami i komplikacjami nie każdy potrafi się uporać. I to jest z pewnością jedną z przyczyn, że ten i ów, choć bynajmniej nie czuje się „anty", nie zdradza ochoty i zdolności do twórczego zamanifestowania swojego „pro". Odwraca się więc od „zgiełku rzeczywistości", lekceważy lub nawet wyszydza „zamówienia społeczne" i czeka w bierności na jakąś boską pełnię takich warunków, w których nikt i nic nie będzie mącić spokoju pracy nad doskonaleniem autonomicznego literackiego rzemiosła.

Żółkiewski mówi wyraźnie:

Jest jeszcze jedna wielka, bardzo stara tradycja literatury mieszczańskiej, która zawsze była **w sprzeczności z tworzącą się nową ludową kulturą naszych czasów: to pesymizm. Pesymizm jest bodaj istotną cechą całej kultury mieszczańskiej od połowy XIX wieku, przenika ją, sączy zewsząd** z literatury i z filozofii, ze sztuki i nauki, z życia i polityki, obyczajów i modlitw. Walka z tym jest istotnie trudna. **Nasza proza nie przyswoiła sobie dostatecznie rewolucyjnego, ludowego optymizmu. Nasza krytyka dotąd nie umiała uwydatnić wagi tego zagadnienia.**

Łatwo jest być dzisiaj pesymistą w literaturze; wspaniałe tradycyjne konwencje, **środki wyrazu, całe sceny, symbole klasy ginącej — wszystko jest gotowe. Optymizm jest piekielnie trudny.** Wydaje się wobec tamtego piękna grozy, bólu gestu **tragicznego — naiwny, prostacki**, słychać w nim tanie pohukiwanie, „hop, dziś, dziś!".

A jednak tu, leży klucz i sedno Narazie jak Fiszer, daję słowo honoru. Rzecz bowiem warta jest osobnego studium. Trzeba będzie do niej osobno wrócić. **Tu tylko sygnalizuję tą najpoważniejszą przeszkodę na drodze uwspółcześnienia naszej prozy.** Weźmy dla przykładu Borowskiego — biegunowe zdawałoby się przeciwieństwo tak Żukrowskiego, jak i Truchanowskiego czy Buczkowskiego. Borowski jest nonkonformistą, piekielnie odważnym, optymistycznym w swoim realiźmie **demaskującym zło systemu deprawującego człowieka, rewolucjonistą w swoim wskazywaniu, że trzeba zmienić ustrój, bo człowiek sam, skazany na oparcie się na swoim wnętrzu jest bezsilny, jest taki jakim jest ustrój,** ale zmiana ustroju, systemu może go uzdrowić. W młodzieńczej jeszcze twórczości Borowskiego odwaga rewizjonistycznego sądu moralnego miesza się z **przerażeniem drobnomieszczańskim,** przyjętym wraz z tradycją chwytów Celine'owskich. Mamy tu wpływy defetystycznej literatury amerykańskiej, **która jest wyrazem kapitulacji drobnomieszczanina przed faszyzmem, przed potęgą kapitału.** Mamy tu nieczysty stop. Ślady choroby.

Czy pesymizm w sztuce pojawia się tylko jako wyraz degeneracji kapitalizmu? A romantyzm moiściewy? A weltschmerz? Co to było? Przerażenie drobnego kołtuna? Skądże znowu? Wtedy właśnie mieszczaństwo zwyciężyło. Literatura powinna była wyrażać tryumf młodego kapitalizmu, a utrwaliła coś wręcz przeciwnego: romantyczny smętek, erotyczną manię samobójczą, żywiołową ponurość Byrona. Romantyzm polski wykluczam. Zarówno Mickiewicz, jak i Słowacki mieli objektywne powody do wypowiadania narodowej psychologii klęski. Ale Goethe? Ale Shelley? Co znaczy smutek i łzy Wertera. Proszę nam to socjologicznie wyjaśnić. Czy p. Żółkiewski potrafi wywieść genezę najsławniejszego romansu epoki z ówczesnego układu sił klasowych? Powiedzmy sobie szczerze. Sytuacja jest niewyraźna. Z jednej strony „Kuźnica" nawołuje nas do realizmu, z drugiej — głosi optymizm ludowy. Kto pogodzi te dialektyczne sprzeczności. Realizm — wiadomo. Wiąże pisarza z rzeczywistością. Realizm to obsesja ruin i cmentarzy, powojenna wegetacja neurasteniczna, brak 15 tysięcy nauczycieli, syfilis i wódka, przerażająca powszechna gruźlica, wyjałowienie i upadek sił, tysiące procesów o nadużycia — typowo polska ponurość.

Nieprawda odpowie przedstawiciel nowego kierunku. Realizm to wzrastająca bez przerwy produkcja, brak głodu wyniszczającego organizm zachodniej Europy, stosy drobiu i ryb, coraz sprawniejsza komunikacja, doskonały teatr, a w perspektywie sytość i dobrobyt.

W perspektywie. Oto słówko toczy się cała batalia. Kierunek literacki pragnący poprzestać na teraźniejszości nie może być optymistyczny. Zwłaszcza w czasach takich jak nasze, z punktu widzenia wychowawczego mogłoby się okazać bardzo ryzykowne. Zrozumiał to najlepiej Wat i dał temu wyraz w swoim rekolekcyjnym artykule, gdzie m. i. takie postawił pytanie:

Czy, aby uzdrowić społeczeństwo, należy mu powiedzieć prawdę o nim? Lekarze leczą czasem tiki za pomocą lusterka, w którym każą się pacjentowi ciągle przeglądać. Jest to jednak kuracja ryzykowna: pacjent albo się wyleczy, albo się zatnie w tikach ostatecznie. Dla ilustracji przytoczę demagogicznie wypadek jaskrawy wzmiankę z gazety („Głos Wielkopolski", 28.XII.47):

„Dla zdobycia butów i ubrania kilkunastoletni chłopcy zamordowali kolegę.

W piątek, 12 bm. zdążał z kościoła w Chodzieży na rowerze 17-letni Jurgowiak Edmund. W odległości 1 km od miasta przyłączyli się do niego dwaj koledzy szkolni 17-letni Schewe i 17-letni Morastew, i cała trójka zdążała pieszo szosą wśród lasów, prowadząc swoje rowery. W pewnej chwili dwaj towarzysze przystąpili do wykonania **morderczego planu,** pragnąc zdobyć przede wszystkim nowe wysokie buty, zakupione ostatnio za 40 000 zł.

Jak stwierdziły oględziny lekarskie uderzyli oni Jurgowiaka tępym narzędziem w czaszkę, następnie wbili nóż w lewą i prawą skroń. Ślady wskazują, że mordercy zawlekli swoją ofiarę kilkadziesiąt metrów w głąb lasu i tam rozebrali z kurtki, ubrania i butów, poczym nakrywszy zwłoki kilkucentymetrową warstwą ziemi oraz mchem — zabrali rower i odeszli. Śp. Jurgowiaka znaleziono z zaciśniętymi jeszcze na szyi szelkami. Głowa była zmasakrowana, twarz zakrzepła w krwi. Kiedy zarządzono pościg, zbrodniarze ulotnili się już z domu."

Oczywiście, jest to wypadek wyjątkowy, krańcowy, zdarzający się w każdym społeczeństwie, tym bardziej zrozumiały po okupacji i po naszej swojskiej edukacji leśnej, ale primo: literatura jest od wypadków wyjątkowych i krańcowych, secundo: chodzi mi o brutalne obrysowanie zagadnienia.

Co ma pisarz robić z takim wypadkiem? Oczywiście, wyobrażam sobie wielkiego moralistę, który umiałby wstrząsnąć sumieniami. Ale normalny pisarz, jeżeli napipisze na ten temat powieść, to czy będzie ona społecznie wychowawcza? Czy gdyby Schewe i Morastew czytali powieść o takiej zbrodni, to czy — bodaj w jakimś małym stopniu — powstrzymałoby to ich od morderstwa? A może trochę — trochę na odwrót? Znałem inteligentnego, zupełnie moralnego młodzieńca, który wyznał mi, że po przeczytaniu „Lochów Watykanu" i „Fałszerzy" miał ogromną pokusę zamordowania jednego z kolegów.

Ale mój krytyczny czytelnik odpowie, że przytoczone przykłady dotyczą zbrodniarzy, a nie normalnego społeczeństwa, które, jak każde inne, ma światła i cienie. Że w społeczeństwie naszym działa wiele dodatnich walorów: twardość niezmożona pracowitość, ofiarność, energia, zaradność, optymizm, patriotyzm i, wbrew pozorom, silne poczucie solidarności. Że te walory należy pokazać, aby oddziaływać wychowawczo, aby je niejako umocnić. Zło zaś pokazywać w dawkach, odmierzanych przez pedagogię społeczną, i w takiej postaci, aby je zbrzydzić.

Któryś z posłów na ostatniej sesji budżetowej domagał się, aby m. in. literatura pomogła przekształcić psychikę polską w kierunku gospodarczym, produktywnym. To wszystko jest niewątpliwie słuszne! Ale mówiliśmy o tym, że literatura wychowawcza musi być przy tym realistyczną i opisująca aktualną prawdę obiektywną. Otóż prawda w literaturze obowiązuje w całości, bez podziału na dodatnią i ujemną. Więc jednak do pewnego stopnia i w pewnych granicach alternatywa: albo wychowywać, albo opisywać prawdę.

Że prawda jest kłopotliwa także ze względu na specyficzne właściwości dzisiejszej psychiki polskiej z tego zdają sobie sprawę wszyscy pisarze i publicyści usiłujący realnie odtworzyć dominujący nastrój społeczeństwa. Krytykowany przez nas Bolesław Dudziński wykazuje maksimum zmysłu realistycznego gdy w Odrodzeniu śmiało konstantuje:

Innym czynnikiem natury subiektywnej, powodującym nieraz odwracanie się tyłem do nakazów rzeczywistości historycznej, jest właściwa psychice polskiej — przekora wobec wszystkiego, co nie układa się w ramy potocznych, ogólnie przyjętych i powszechnie usankcjonowanych schematów. W żadnym chyba kraju świata nie ma tak wielu „zawodowych" oponentów i malkonentów co w Polsce. Człowiek, owładnięty duchem przekory, krytykuje dziś zawzięcie to, co wczoraj jeszcze uważał za słuszne i godne respektu, jutro zaś gotów wymierzyć broń krytycyzmu przeciwko swym dzisiejszym ideałom. Dlaczego? Bo ma poczucie intelektualnej „wyższości", bo „nie chce płynąć z prądem", bo ceni nade wszystko „własne zdanie" i nie zamierza się godzić z „opinią większości".

Istnieje inny jeszcze rodzaj przekory, mniej na serio, bardziej filuterny i żartobliwy. Amator tego rodzaju przekory podchodzi do wszystkiego, co się wokół dzieje i staje, z przymrużonym znacząco okiem, ze słowami: „bujać to my"., „nie nas nabiją w butelkę" itd. Wszystko jest dlań „lipą" i „nawalanką", a jeśli nawet tych słów nie używa, w taki właśnie sposób myśli i czuje i według tego reguluje swój stosunek do otaczającego świata.

Literatura nie będzie mogła pominąć tego faktu. Trzeba przyjąć do wiadomości, że wojna zrobiła z nas naród cwaniaków, scyptyczny i bardzo nieufny, wyjątkowo odporny na propagandę dzięki wyostrzonemu poczuciu humoru, które w Polsce nigdy nie zawiodło.

Powie ktoś, że to jest inwazja nihilizmu ogarniająca dziś powojenną Europę do spółki z literaturą rozpaczy. Djabła tam. Nasz cynizm posiada wyraźne granice. Ustaje wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi religia lub autorytet Kościoła. Poza tym—nie ma dogmatów. Wszystko może być względne czego nie określa zespół Boskich nakazów moralnych. Właśnie dlatego, że jesteśmy fanatycznie przywiązani do katolicyzmu.

Świat sceptyków zdolny swobodnie naigrawać się z urzędowego patosu i frazeologii jest nam na pewno bliższy od świata psychopatów biorących slogany na serio.

Wojciech Natanson przypomniał nam to złowrogie wyznanie w cytowanym tu już artykule „Sprawa obojętności kulturalnej", zamieszczonym na łamach „Nowin Literackich". Znajdujemy tam doskonałe powiedzenie angielskiego socjalisty Priestleya! **„Tworzenie i odbiór sztuk pięknych jest jednym z celów, dla których państwo jest środkiem".** Autor podejmuje tę myśl, **uwypukla** ją a potem mocno i odważnie stwierdza:" Państwo jako pojęcie odrębne od społeczeństwa jest formą organizacji, która stanowi oddzielny organizm. Tworzenie i właściwy odbiór sztuki są czynnościami intelektu. Przerażającą byłaby myśl że czynności intelektualne istnieją poto, by służyć jakiemuś mechanizmowi. Powtarzam więc że państwo istnieje dla artystów a nie artyści dla państwa. Dzięki Bogu że wreszcie ktoś właściwie to zagadnienie postawił.

W dalszym ciągu autor bardzo trafnie określa warunki konieczne do tego, żeby literatura mogła się rozwijać. Niewczesnemu optymizmowi przeciwstawiono tu prawo do buntu bez którego nie obeszła się jeszcze żadna rewolucyjna epoka. Właśnie bunt przeciw światu jest równoznaczny z wykryciem nowych, nieznanych dotychczas wartości. Jeśli rzeczywistość rozwija się dialektycznie, nie ma powodu ukrywać, że istnieje w niej walka przeciwieństw. Natanson domaga się ostrego widzenia całokształtu zjawisk. Oświadcza:

Aby świat ulepszyć, trzeba go najpierw gruntownie poznać i zrozumieć — poznać bez upiekszeń, zrozumieć — bez sympflifikacji. Literatura ma ambicję do tego zmierzającą, by krótkowidzom zarysować kontury rzeczywistości. To widzenie wcale nie musi być identyczne z naturalizmem. Można prawdzie śmiało spojrzeć w oczy i nie przestraszyć się — lecz szukać dróg ratunku.

Ale to wszystko mało. Kontynuując swoje rozważania znakomity publicysta podejmuje najcenniejszą myśl Irzykowskiego. Powiada że pisarz musi mieć prawo do komplikacji czyli do rozbijania schematów.

W sferze kultury nie ma dziś ważniejszego zadania. Obowiązuje nas krytyczna rewizja doktryn 19 wieku. Generacja nasza chce sobie wreszcie zdać sprawę ze swych odrębnych celów. Gotowa zawsze wykorzystać cudze doświadczenia, nie uzna nigdy idei służących nienawiści pod jakimkolwiek pozorem. Urodzeni z trzech rewolucji, poczęci w dniach wojny światowej osiągnęliśmy dzisiaj pełnię samowiedzy.

Bardzo łatwo odrzucać cudze dekalogi, brać udział w wymyślaniu na

faszyzm, po raz nie wiem który odżegnywać się od materializmu, ale to już nie wystarcza. Postawa podobna także jest dziełem przeszłości.

Wiemy: Żadna generacja nie może zaczynać wszystkiego od nowa. Dziś bardziej niż kiedykolwiek doceniać należy potrzebę ciągłości i kontynuacji. Dlatego właśnie pytamy: Kto z nas potrafi sprostać katolicyzmowi w związku ze społecznym powołaniem chrześcijan. Ciągle nam się zdaje, że wystarczające jest wyznanie wiary, że religia nie posiada olbrzymiej skali aktualnych wcieleń odpowiadających najżywszym pragnieniom epoki, że wystarczy ją po prostu przyjąć, by na nowo wstrząsać zaczęła, wstrząsać, olśniewać i działać, że tu nie ma walki o znalezienie własnego wyrazu dla treści niezmiennych w istocie. Czy potrafiliśmy w porę zrozumieć jakie zadanie wyznaczył nam Bóg w tej epoce. Gdzie jest katolicki ruch społeczno zawodowy — gdzie własna wizja prawd zawartych w Ewangelii — gdzie filozofia młodości związana z Objawieniem jakie przyniósł Chrystus.

Nie ma dziś ważniejszego pytania! Nasz profil jest nikły i chwiejny, nasz głos jeszcze w pełni nie zabrzmiał, ciągle żyjemy w sferze zapowiedzi obietnic i przygotowań, ale któż wreszcie wyrazi wszystkie twórcze pasje tego pokolenia. Kto pojmie jego drębność i zaspokoi nasz głód samowiedzy. Natanson postokroć słusznie nawołuje do rozbijania schematów. Ten człowiek posiada odwagę i zdolność samodzielnego myślenia. On chyba był jednym z pierwszych, który zwrócił uwagę na fakt, że psychologizm powieściowy właśnie przez precyzyjność i cienkość swojej metody artystycznej daje daleko większą szansę odtworzenia koszmaru drugiej wojny światowej niż czysto opisowy realizm. Ta walka z psychologizmęm jaką podjął w „Kuźnicy" Żółkiewski przyniosła jedynie straszliwe pomieszanie pojęć. Gdyby nie cenne wyjaśnienia jakich udzielił nam w tej sprawie prof. St. Ossowski (w czasopiśmie naukowym „Myśl Współczesna") nikt nie byłby w stanie pojąć o czym się w ogóle mówi. Z prawdziwą satysfakcją cytujemy opinię najwybitniejszego rzeczoznawcy interesujących nas tutaj zagadnień:

> Systematyczne opracowanie strony pojęciowej w doktrynie Marksa i opracowanie zależności logicznych pomiędzy twierdzeniami, które wchodzą w jej skład, pozwoliłoby usunąć kilka podstawowych a groźnych niekiedy nieporozumień rozpowszechnionych w dzisiejszej literaturze marksistowskiej.
>
> Do takich nieporozumień należy np. sprawa „psychologizmu" zwalczanego przez pisarzy obozu marksistowskiego w polskiej prasie powojennej. Nikt z pisarzy, którzy w tej kampanii biorą udział, nie pokusił się — o ile mi wiadomo — o sprecyzowanie, z czym się dokładnie walczy, co to jest ten psychologizm, któremu się marksizm ma przeciwstawiać. Czy idzie tu o pewne tezy, czy o metody badania rzeczywistości, czy wreszcie o selekcję zagadnień?
>
> Zwalczanie staroświeckiej psychologii traktującej człowieka w oderwaniu od środowiska społecznego, tendencja do usunięcia introspekcyjnych metod z badań nad człowiekiem i społeczeństwem, wreszcie rzekome desinteressement w stosunku do wszelkich zagadnień psychologicznych — to trzy różne sprawy, które winny być wyraźnie rozgraniczone, a które się stale plączą w „antypsychologistycznych" artykułach, przy czym w dodatku przeskakuje się czasem niepostrzeżenie na teren zagadnień etycznych. Wygląda to tak, jak gdyby socjologiczny sposób patrzenia na psychikę ludzką, sposób wynikający z marksistowskich założeń, miał prowadzić do likwidacji zagadnień dotyczących życia psychicznego, tzn. również do likwidacji najwspanialszych może kart w dziejach Marksa i Engelsa.
>
> Przeciwstawia się dzisiaj pojęcia społeczny i psychologiczny, podczas kiedy to nie są pojęcia jednej kategorii: zjawiska społeczne mają swój aspekt fizyczny i aspekt psychiczny. Aspektem fizycznym zajmuje się np. demografia, natomiast cała socjologia marksowska wkracza w sferę zjawisk psychicznych (solidarność klasowa i antagonizmy klasowe, świadomość społeczna, ideologie klasowe, zagadnienie własności, funkcje społeczne partii politycznych, społeczne uwarunkowanie metod wychowania, i w ogóle wszystkie zagadnienia związane z nadbudową ideologiczną). Przy jasnym stawianiu pojęć zamiast rzekomego przeciwstawienia społeczny — psychiczny mamy na terenie interesujących nas zagadnień dwie pary pojęć przeciwstawnych: a) psychiczny — fizyczny; b) społeczny (np. w sensie: uwarunkowany przez stosunki międzyludzkie) i biologiczny (w sensie: uwarunkowany przez procesy organizmu).

Autor słusznie domaga się ustalenia zasad przekładu terminologii marksistowskiej na współczesny język naukowy.

Bez tego żadna porządna dyskusja nie może być prowadzona. Wróćmy jednak do punktu wyjścia. Zbadajmy jakie objektywne szanse posiada głoszony przez Żółkiewskiego optymizm ludowy?

Pech historyczny sprawił, że urzeczywistnienie socjalizmu dokonało się w najbardziej gospodarczo zacofanych krajach, które nie przeszły koniecznych etapów uprzemysłowienia w epoce kapitalistycznej i dlatego przez wiele lat nadrabiać muszą nie tylko straszliwe zniszczenia wojenne ale także szereg wiekowych zaniedbań o charakterze strukturalnym. Marks uważał, że warunkiem pełnej dojrzałości socjalistycznej jest wysokie uprzemysłowienie terenu podlegającego rewolucyjnym przemianom społecznym. Jego doktryna była wynikiem ewolucji jaką przeszły zachodnie państwa kapitalistyczne. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że z tego punktu widzenia jesteśmy opóźnieni w rozwoju dziejowym i dlatego trudno będzie oczekiwać od nas efektownych szybkich rezultatów. Polska musi ciągle zaczynać od nowa. Nasze pokolenie miało wyjątkowo zły start ekonomiczny. Nie mieszajmy pojęcia twórczości z odbudową istniejących uprzednio elementów egzystencji ludzkiej. Każdy rozsądny marksista zdaje sobie sprawę, że dopóki państwa ogarnięte wpływami socjalistycznymi tkwić będą w światowym organizmie kapitalistycznym, znaczna część dochodu społecznego będzie musiała zostać obrócona na zbrojenia co niewątpliwie opóźni możliwość urzeczywistnienia dobrobytu mas

W związku z tym możliwość wymówienia w literaturze postawy optymistycznej przy zachowaniu realizmu może występować tylko w wypadku indywidualnej wiary w przyszłość dumnej wizji ideowej.

(M. G.)

ROZWÓJ K.U.L-u

Katolicki Uniwersytet Lubelski ma swoją odrębną, specjalną pozycję wśród wyższych uczelni polskich. Specjalność ta i odrębność polega na specjalnej i odrębnej hierarchii celów. O ile wszystkie wyższe uczelnie w Polsce zajmują się przede wszystkim, a raczej wyłącznie kształceniem w sensie zawodowo - naukowym, o tyle K.U.L. obok tego zadania podjął trud pracy ideowej, światopoglądowej, konkretnie: katolicko - apostolskiej. Praktyka wykazuje, że między tymi dwoma celami nie ma sprzeczności. Przeciwnie: istnieje mocna więź, ułatwiająca ich realizację.

Ostatnia broszurka *) informująca o osiągnięciach K.U.L.-u dostarcza dowodów na poparcie tego stwierdzenia. Siła dowodów jest nie do pokonania. Są nimi fakty. Chyba, że ktoś w apriorycznym uporze powtórzy za jednym z największych uparciuchów, że — tym gorzej dla faktów. Kto jednak spojrzy na nie bez uprzedzeń, dowie się bardzo dużo.

„Kontynuując przedwojenną serię wydawnictw, zawierającą źródła i monografie, Towarzystwo Naukowe K.U.L wydało kilka dalszych tomów. Wydano też około dwudziestu rozpraw i wykładów Wydziału Nauk Społecznych, Historyczno - Filologicznych i Tow. Wiedzy Chrześcijańskiej. O aktualności i pożyteczności wydawnictw świadczy fakt, że szereg wydawnictw powojennych zostało wyczerpane, jak np. prof. Jana Czekanowskiego „Podstawy teoretyczne antropologii i ich konsekwencje", prof. Juliusza Kleinera „Tragizm", ks. prof. Słomkowskiego „Pochodzenie człowieka w świetle teorii ewolucji i w świetle nauki kościoła katolickiego", prof. Halbana „Mistyczne podstawy narodowego socjalizmu", prof. Jana Parandowskiego „Literatura a współczesność", ks. prof. Józefa Pastuszki „Psychologiczne źródła niewiary" i inne. Wobec niesłabnącego popytu na wymienione wyczerpane publikacje, Zarząd Towarzystwa Naukowego przystąpił do ponownego ich wydania. Część z nich już się ukazała, inne, jak praca ks. prof. Słomkowskiego „Pochodzenie człowieka..." ponownie jest wyczerpane, choć w drugim wydaniu ukazała się w nakładzie trzykrot nie większym od pierwszego. Plany wydawnicze na rok bieżący są bardzo rozległe, w druku jest m. in. „trzytomowa monografia prof. J. Kleinera o Mickiewiczu...". (Ze sprawozdania rektorskiego z działalności K.U.L. w roku akademickim 1946/47).

Drugim objektywnym sprawdzianem rozwoju lubelskiej uczelni jest stosunek studentów, wyrażający się wzrastającą coraz bardziej falą przypływu. W roku sprawozdawczym obejmowała ona prawie dwa tysiące osób (dokładnie: 1.946). Wyraźnie krzywa przyrostu podnosi się ku górze. Zwiększa się także grono wykładowców. Według ostatnich danych liczyło ono 77 osób, w tym profesorów i ich zastępców — 50, prowadzących zaś wykłady zlecone — 27.

Praca K.U.L.-u wychodzi extra muros. Zjazdy, wieloturnusowe Kursy Pedagogiczno - Społeczne, świadczą o wzmożonej inicjatywie tego kierunku. Walczy się z trudnościami administracyjnymi, dźwiga trud odbudowy biblioteki, ale praca idzie ciągle na przód. Pożyteczna broszurka, która o niej informuje jest jednocześnie dokumentem wspaniałego rozwoju uczelni, której danym jest reprezentowanie w dzisiejszych warunkach zwycięskiej myśli katolicko - naukowej.

Z. L.

*) „Katolicki Uniwersytet Lubelski", Jednodniówka nakładem Towarzystwa Przyjaciół K.U.L., Lublin 1947, str. 40.

TEATR IVO GALLA

Badanie jakiegoś zjawiska zaczyna się od poznania jego historii.

Teatr Galla powstał w Warszawie, na przełomie lat 41/42, jako studio pracujące w konspiracji.

Czwórka młodych ludzi, pojawiwszy się pewnego dnia w mieszkaniu na rogu Tamki i Smulikowskiego, zdołała wytrącić Galla z ustalonych form życia okupacyjnego, które polegało na „produkcji" i „zbycie" tzw. swojaków.

Ekipa uczniowska rozrosła się w krótkim czasie do 36-ciu osób. Nauka trwała od rana do godziny policyjnej, z niewielkimi tylko przerwami.

Do dziś niewiadomo czym przeżyli okupację mistrz i jego uczniowie. Manną? Najpewniej: Teatrem — o resztę nikt się nie troszczył, o reszcie nikt nie myślał.

Dokładnie na piętnaście minut przed wybuchem powstania studio zakończyło pierwszy okres swego istnienia.

CIĄG DALSZY W KRAKOWIE

Koncepcja teatru — studia weszła w krew Galla. Kiedy, po zakończonej wojnie, znalazł się on w Krakowie, mimo inne, ponętniejsze może propozycje, wrócił do pracy podjętej w stolicy. Wiadomość o tym dziwnymi drogami dotarła do rozrzuconych po kraju uczniów okupacyjnych: dołączyli do szeregów krakowskich pojedyńczo, prócz tych... którzy zostali w mogiłach powstańczych.

Po trzech miesiącach pracy urządzono pierwszy pokaz („Dobre serce" — Rydla i fragmenty „Nocy listopadowej"). Drugi występ publiczny („W małym domku" — Rittnera) stał się głośnym na całą Polskę wydarzeniem artystycznym.

Wiosną roku 1946 zorganizowano trzeci pokaz, którego ukryty cel miał wiele cech dramatycznych.

Człowiek musi jeść: Albo szkoła ulegnie rozwiązaniu, albo powstanie nowy teatr. Zjechała się do Krakowa na ten dzień uroczysty prześwietna komisja możnych, a po pokazie, który trwał godzin dziewięć, zapadły szczęśliwe i trafne decyzje:

Uczniowie Galla mianowani zostali odrazu aspirantami (wypadek rzadki w karierze aktora): z zespołu postanowiono sformować teatr.

Dalszy przebieg wypadków:

W czerwcu 1946 na pierwszym posiedzeniu Rady Teatralnej Gall został udekorowany złotym krzyżem zasługi, a 20 listopada tegoż roku Teatr Miejski „Wybrzeże" w Gdyni pod dyrekcją Ivo Galla oczarował widownię prapremierą sztuki Tadeusza Gajcy'ego pt. Homer i Orchidea.

TWÓRCZY FANATYZM

Genezy ideologicznej dzieła szukać trzeba w samym twórcy.

Syntezą Galla jest fanatyzm teatru: dziedzictwo po mistrzu Józefie Sosnowskim, dziedzictwo po kolegach Kamińskim, Jaraczu, Osterwie, dziedzictwo przez lat więcej niż trzydzieści narastające w duszy ogniem nieugaszalnym, dziedzictwo, które zaciemniło resztę świata jedno tylko jego zjawisko uwypuklając: teatr.

Przyjacielem Ivo Galla może być tylko inny fanatyk teatru. I to decyduje o doborze ludzi do zespołu. Jeśli się przyjęło: teatr jest dla mnie wszystkim, trzeba innych wychować tak, by mieli to samo spojrzenie na świat, na pracę teatralną: przed posągiem Melpomeny ten tylko godzien modły zanosić, kogo siła natchnienia tu przywiodła.

„Mój teatr musi mieć ludzi skromnych, prostych, bez zbytniego o sobie mniemania. W aktorze nie może się zrodzić przekonanie o wielkości. Nie ma „tytanów" sceny. Nie ma żadnej nadzwyczajności. Teatr musi być wolny od kabotyństwa".

Na taśmie pamięci zarejestrowane zostały te słowa Galla, jako jego credo. W tym aspekcie trzeba patrzeć na ludzi Galla.

LUDZIE GALLA

Członkowie jego zespołu odbiegać winni strukturą psychiczną od wszystkich innych ludzi teatru. Nie ma gwiazd. Wobec sztuki wszyscy są równi. Stosunek do pracy ma być szczery i pełen serdeczności: w niej urasta idea teatru nowego, i to nowego pod każdym względem. Sztuka daje taką sumę przeżyć, że gdzie indziej i części ich się nie znajdzie— stąd obowiązuje luźny zupełnie stosunek do wszystkiego co nie jest teatrem. Praca musi być traktowana głęboko, badawczo, wnikliwie — tylko na tej drodze można uniknąć błędów.

I dlatego, choć zespół ledwie dwa lata znajduje się na scenie w rejestrze osiągnięć trzy pozycje mówią same za siebie:

„Homer i Orchidea",
„Jak wam się podoba"
„Balladyna".

Ludzie Galla znają wartość swego dorobku, ale nie robią huku koło niego. Ważne jest dzieło — nie to co by o nim rzec można.

JAK WAM SIĘ PODOBA?

Co myślicie o teatrze Galla?

W pierwszym zrywie odpowiedź jest spontaniczna — jesteśmy oczarowani. Człowiek szanuje ascezę u innego człowieka, choćby dlatego, że sam się na nią zdobyć nie potrafi.

Przed oczyma obserwatora zarysowuje się wyraźnie zespół. Nie ten czy ów wykonawca — Zespół. I chciałoby się, jakkolwiek myśl nie jest nowa, jakkolwiek historia uczy, iż o realizację tej myśli walczyły pokolenia wielkich kapłanów Melpomeny, zawołać: odkrycie! Ale właśnie historia pierwsza nasunie wątpliwości. Czyż nie brak czegoś w samym założeniu skoro do tej pory nie udało się go zrealizować?

I myśl uporczywa zaczyna podważać zachwyt. Bo tak: jeśli ludzie zespołu mają być wolni od ambicji indywidualnej, jeśli ich pracą, ba, nawet sposobem myślenia kierować ma ręka i wola mistrza, to czyż nie zatrą się kontury jednostek, nie zrodzi się masa, a człowieka nie zmieni się w robota, funkcjonującego z wielką precyzją.

Aktor utraci indywidualność — a teatr nigdy nie doczeka się aktorskich objawień. Kiedy się człowieka wypierze z jego prywatnych dążeń i ambicji (choćby na korzyść ambicji zespołowej), możliwości jego nigdy nie wyjdą poza poprawność.

Wątpliwości rozrastają się coraz bardziej. Teatr Galla jest zakonem. Gall nie przyjmie do swego zespołu człowieka, który gdzieindziej uczył się alfabetu teatru, z tym można się pogodzić. Ale postawmy zagadnienie inaczej: gdyby tak teatr w Gdyni nie był chroniony zarządzeniem zabraniającym aktorom Ziem Odzyskanych zmiany miejsca pracy bez zgody dyrektora — czy stan zespołu Galla byłby ten sam?

Czy proces przetrawiania zespołu koncepcją kierownika jest posunięty tak daleko, że nawet bez sztuczne'

Wędrówki po scenach polskich

TO TO TU TATO!

(„Słomkowy kapelusz" w Teatrze Nowym.)

„Nareszcie nie Hamlet" — powiedziała jakaś pani z ósmego rzędu w antrakcie premiery prasowej. „To to tu, tato, to to tu" leży sekret, który zapewni na pewno Tuwimowi okrągłą setkę kompletów. Publiczność szuka w teatrze okazji do śmiechu.

„Pęd do szukania w teatrze przede wszystkim zabawy jest tak silny, że nic go stłumić ani odwrócić nie zdoła" — pisał Boy. Spostrzeżenie słuszne.

Widownia musi się śmiać: kiedy zbyt długo nie ma okazji wyładowania się na „Słomkowym kapeluszu" śmiesznym jej się wyda nawet dickensowski Kaleb.

Głód śmiechu nie jest wcale zjawiskiem złym, lub świadczącym o braku kultury. Tylko głupota i snobizm nie znoszą beztroskiej wesołości.

Rzecz tylko w tym, by śmiech miał zdrową przyczynę. Bronimy prawa do śmiechu nie prawa do rechotu.

×

Teatr Tuwima trafił na właściwą sobie drogę. Pierwsze dwie premiery były poszukiwaniem. Nie udało się „Wesele Figara", lepszy był „Rewizor", a „Słomkowy kapelusz" to strzał najcelniejszy. Kierownictwu sceny ten rodzaj spektakli najbardziej odpowiada — to się czuło od pierwszego dnia istnienia. Nic w tym złego. Labiche to także teatr i to trudny teatr. Najgorszym błędem byłoby narzucanie Beaumarchais'om tonacji Labiche'ów.

×

„Słomkowy kapelusz" pisany był przez człowieka, który niewiele interesował się prądami wiejącymi na parnasie. Czy to to tu może leży źródło sukcesu. Labiche nie głowił się nad dopasowaniem swej koncepcji do modnych szablonów, a z drugiej strony, nie wiedząc co jest szablonem, nie silił się na oryginalność. I stąd świeżość pomysłu i stąd humor komedii choć prosty i niewyszukany, ale za to jędrny, słoneczny i zdrowy. Kompletna „noga" zawsze pierwszego w życiu robra wygra — takie już prawo rządzi tym światem. Wniosek: laicy do dzieła. Zdarzyć się może, iż niejednemu z was sława Labiche'a sądzona.

×

„Szybkość światła jest ślimakiem chorym na bezwład nóg" w porównaniu z tempem jakie Perzanowska narzuciła spektaklowi od pierwszej sceny. Nie dziwota, że na finisz sił nie starczyło. Finał aktu trzeciego był punktem kulminacyjnym przedstawienia. Ten jeden moment wystarczył za wszystko. Nie wiadomo było na co patrzeć: tu Mroziński zadzierający prawą nóżkę, tu wcale poprawny balet, tu wreszcie Fijewski ...w zalotach do Messalki. Akty 4-ty i 5-ty rozklejają się widocznie: tempo słabnie, z widowni i ze sceny wieje znużeniem. Dla trzeciego aktu warto zobaczyć ten spektakl. Śmiejemy się, bo... śmiech to zdrowie.

×

Z wykonawców jedynie Bogucki nie „spuchł". Przyznaję otwarcie, że byłem zaskoczony tak ponad poprawnym postawieniem roli. W wielu scenach publiczność słusznie i trafnie oklaskiwała gierki Mrozińskiego, a zwłaszcza wspaniałą groteskę stworzoną przez Fijewskiego.

tamy nie nastąpił by odpływ? A może ten i ów aktor zachowując w sercu wiele dla Galla wdzięczności zacząłby się jednak rozglądać za kierownictwem innym, dającym rękojmię większej swobody?

RIPOSTA

Odpowiedź Galla na te wątpliwości jest pełna spokoju.

Jak należy rozumieć pracę zespołową? Co to jest zespół? Jest to szereg indywidualności, której w nikim zabić nie wolno. Nie chodzi wcale o ujednolicenie sylwetek — chodzi o harmonię ich zarysów w obrazie całości.

Jednostce trzeba dać możność pełnego, jej właściwego rozwoju, ale trzeba jednostki te ze sobą skontaktować, zespolić je w całość. Jednostka musi się widzieć na równej z inną wysokością. Nie może być walki o role: dziś statysta, jutro bohater. Rolą kierownika jest umiejętność wyrobienia tej postawy.

Nie wchodzą w grę jednostki nieudolne — te odpadają po drodze. Zostają tylko ci, którzy są predystynowani do twórczej pracy. Wśród nich dwie trzeba odróżnić grupy: stworzonych do wzorowego stawiania ról bohaterskich, zdolnych do przyjęcia ról pomocniczych (nie ról „złych" i „dobrych" — taki podział nie istnieje: każda rola jest dobra, może być tylko źle lub dobrze odtworzona). Przeznaczenia twego nikt nie zmieni — a obowiązkiem kierownika jest takie wychowanie, które by otworzyło na to zjawisko oczy. Każdy aktor może dojść do świetności — obojętne, czy to będzie w postaci Argana, czy „tylko" Tomasza Biegunki. Aby spektakl „Chorego z urojenia" był świetny, świetnym musi być zarówno Argan jak i pan Tomasz Biegunka.

***

Gall ma łatwość porywania współpracowników. Potrafi też przekonywać najbardziej pesymistycznych rozmówców. Trzeba bardzo wierzyć w człowieka, by idea Galla wydała się realną. Nie niecierpliwmy się jednak: każdy dzień jest egzaminem.

Mieczysław Markowski

Nabyć, czytać, nie czytać?...

Pasternak Leon: „LINIA ŻYCIA", str. 78 + 2 nlb, nakładem Zw. Zaw. Lit. Pol. w Łodzi, 1948.

Kto czytał świetne satyry znanego ze „Szpilek" i dwóch osobno wydanych tomików kpiarza, ten w „Linii życia" znajdzie potwierdzenie starej i dosyć pospolicie wyrażonej prawdy: „Pilnuj, szewcze, kopyta". Liryczne wiersze Pasternaka, zebrane w książeczce sumującej piętnastoletni prawie dorobek poetycki, są świadectwem wielkiej „nieporadności lirycznej", zastanawiają i brakiem samodzielności i taniochą efektów i patosem kiepskiego gatunku a nawet — co, zważywszy doskonałe wypracowanie satyrycznych wierszy autora, ma swoją wymowę — nawet nieudolnością weryfikacyjno-formalną. Jeśli autor chciał wydaniem tego sumarycznego zbiorku coś zadokumentować, to zadokumentował przede wszystkim, że jest **tylko** satyrykiem

Jerzy Piórkowski: „NIEPODLEGLI", spół. wyd. „Wiedza", 1947.

Książki o powstaniu, ujmujące jego przebieg, starające się odtworzyć atmosferę owych sześćdziesięciu najgorszych dni, nakreślić sylwetki ich bohaterów, mają podwójne zadanie: muszą stanowić swoisty dokument historyczny i spełniać jednocześnie rolę bezstronnego, rozumiejącego ducha tamtych chwil komentatora. Mówiąc prościej: muszą zawierać jak najwięcej prawdy historycznej, jak najwięcej faktów i nie mogą zamazywać ich konturów w lichym patosie.

Piórkowski nie sprostał ani pierwszemu, ani drugiemu zadaniu. Układ jego książki miesza te fakty, a jej atmosfera, nasycona patosem nieudolnie stylizowanym na Remarque'u dusi i przygnębia nie swoją wymową, bo to byłoby wielkim plusem, ale właśnie brakiem wymowy, sztucznością, nadmiernym poetyzowaniem, o tyle może ciekawym, że realizowanym drogą rzekomo prozaicznych, arcyrealnych przedstawień. I historia i literatura nic na tym jednak nie korzysta.

Aleksander Janta - Połczyński: „KŁAMAŁEM, ABY ŻYĆ", spół. wyd. „Wiedza", r. 1947.

Znany sprzed wojny poeta i powieściopisarz, wsławiony specjalnie wspaniałymi reportażami z owijających kilkakrotnie swoją trasę kulę ziemską podróży, daje nam w ostatniej swej książce barwny i ciekawy opis przeżyć swych w niewoli u chłopa niemieckiego, gdzie, ukrywając swe pochodzenie, jako jeniec francuski, starał się przeżyć wojnę. Poza początkowymi rozdziałami, które nudzą i judzą swoimi gloryfikatorskimi uniesieniami nad niesłychaną walecznością żołnierza polskiego, cała książka godna jest ze wszechmiar nawet niejednokrotnego przeczytania. Polityk znajdzie w niej wytłumaczenie „żelaznej wytrwałości" Rzeszy, podpartej świetnie przez Połczyńskiego zilustrowaną przebiegłością Goebelsa, psycholog będzie się delektował subtelnymi obnażeniami psychiki jeńca, krytyk zadziwi się wartkiemu nurtowi trzystu kilkudziesięciu stron, których prawie wcale nie ożywiają dialogi — a czytelnik „normalny", który zwykle sumuje te wszystkie zainteresowania spędzi z książką Janty-Połczyńskiego wiele i miłych i bogatych we wzruszenia godzin.

Ks. Czesław Falkowski: „SIOSTRA NULLA, SŁUŻEBNICA KRZYŻA", str. 32, Verbum, Kielce.

W czasach, które zanotowały wyraźny kryzys liryki, zrozumiałym, chociaż smutnym objawem jest anemia liryki religijnej. Wiersze siostry Nulli, które należałoby w szerszym artykule rozważyć i postawić przed pytaniem, czy mają prawo wstępu do literatury, są w każdym bądź razie zjawiskiem wskazującym na to, że źródła liryki religijnej są wiecznie żywe, ale ukryte. Dobrze się stało, że ks. Falkowski w ładnie napisanej broszurce ożywił przed nami jedną z postaci, która czeka na zainteresowanie się nią przez krytykę literacką, a przede wszystkim przez szersze rzesze czytelników.

Wiech (Stefan Wiechecki): „G — JAK GENIA", Awir, Katowice, 1947.

Każda książka Wiecha (oprócz „Cafe Bar — Pod Minogą") jest podobna do swej poprzedniczki i następczyni. Mimo to — każda jest radosnym objawieniem i z półek księgarskich zmyka z rekordową szybkością. To samo można powiedzieć o nowej pozycji naszego najwybitniejszego felietonisty. Żaden z jego kolegów nie ma tak ustalonej renomy — i środków oddziaływania. Szablon Wiecha to dziwny szablon. Nie nudzi. Na wszelki wypadek dam jednak czytelnikom „G — jak Genia" dobrą radę: nie czytajmy tej książki jednym tchem, czytajmy po dwa, no, trzy felietony dziennie. Bo w przeciwnym wypadku odkryjemy, że „toczka w toczkę", że „niczegowata muza, ale"... Krytykom zaś zadam pytanie: dlaczego Wiecha głaszcze się pod brodę i chwali, ile wlezie, a nikt dotychczas nie spróbował (oprócz kilku solidniejszych recenzentów z przedwojennych „Wiadomości Literackich") napisać rzeczowego artykułu, spojrzeć na kilkunastutomową twórczość przez „mędrca szkiełko", poddać te tomy gruntownej, obiektywnej analizie? To chyba nie obraża warsztatu krytycznego. Natomiast brak takich opracowań obraża człowieka, który zupełnie serio pracuje „nie na serio", a doczekać się może jedynie kilku recenzyjek, poklepujących po ramieniu. Korzystając z okazji, jeszcze jedna propozycja, tym razem pod adresem wydawców: czy nie można by wydać zbioru felietonów Quasa (Stefana Kwaśniewskiego)? „Sposób na żonę" jest białym krukiem, a wznowienie przydałoby się i czytelnikom i krytykom (droga porównań prowadzi do ciekawych wniosków..) i — co chyba najważniejsze — wydawcom.

Chwalisław Zieliński

O urządzeniu grobów wielkanocnych

i ich właściwym charakterze

Sprawę grobów wielkanocnych pragnę poruszyć z punktu widzenia artystycznego i dekoracyjnego na kanwie przepisów kościelnych, dotyczących zarówno kultu Najświętszego Sakramentu, jak i samej ceremonii wielkopostnej, w celu zwrócenia uwagi na najistotniejsze momenty tej, poza liturgią stojącej, ceremonii kościelnej. Do tego skłania mnie panująca ogromna swoboda w pojmowaniu urządzenia grobu, jako nie objętego przepisami i prawem liturgicznym, a często wykraczającego daleko poza najzwyklejsze przepisy o czci i przechowywaniu Najświętszego Sakramentu.

STRONA PRAWNA I LITURGICZNA

Miejsce i sposób.

Miejscem grobu wielkanocnego w pojęciu liturgicznym, w duchu Kościoła, powinien być ołtarz wystawienia, urządzony w Wielki Czwartek, wewnątrz kościoła, ale w miejscu odosobnionym, najlepiej w bocznej kaplicy.

W związku z tym ołtarzem, urządzanym ad hoc, nie mogą być umieszczane malowane figury, wyobrażające: Matkę Boską, św. Jana, św. Magdalenę, żołnierzy straż pełniących i inne temu podobne ozdoby.

Ołtarz ten ma przypominać zarówno grób Chrystusowy jak i ustanowienie Najświętszego Sakramentu. (S. K. Ob. 15 grudnia 1896 r. Rzym 3939 dub. I i II).

Ołtarz ten wyobrażający u nas „ciemnicę", czy „piwnicę", zgodnie ze wszystkimi przepisami o czci Najświętszego Sakramentu, powinien być udekorowany w kolorze białym. Odnosi się to do zasłon przykrywających okna i znajdujące się tam ewentualnie figury. Nie godzi się używać zasłon koloru fioletowego, a tym bardziej czarnego. Samo miejsce przechowania Najświętszego Sakramentu zdobić powinno piękne, białe konopeum, wyglądające bardzo okazale i dominująco.

Ołtarz wystawienia poza tym może i powinien być ozdobiony kwiatami poważnie, dyskretnie i z umiarem, bez przeładowania, z odpowiednią, przepisaną ilością światła. Światłem właściwie można by podkreślić niezwykły moment, odróżniający się od innego zwykłego wystawienia, stawiając lichtarze nawet na stopniach obok ołtarza lub na posadzce.

Tak by wyglądał zgodnie z przepisami i liturgią wielkotygodniową „grób Chrystusowy" w zasadniczym zarysie.

PO LITURGII WIELKOPIĄTKOWEJ W DUCHU KOŚCIOŁA

Pamiątkę Śmierci Chrystusa, Pana Kościoła, chce obchodzić po skończonej liturgii wielkopiątkowej w nastroju głębokiej żałobnej powagi. Święte Konsekrowane Partykuły przechowuje się gdzieś w głębi kościoła na wypadek nagłej potrzeby udzielenia Wiatyku chorym. W ten sposób przerywa się niejako pobyt Chrystusa Pana w kościele pod Sakramentalnymi Postaciami, aby wytworzyć pewną pustkę, smutek i żałobę, ponieważ Chrystus Pan umarł i nie ma Go wśród żyjących.

W kościele jest pusto. Miarę tego niezwykłego nastroju dopełniają, podkreślają i potęgują obnażone z obrusów ołtarze i pozakrywane fioletowymi zasłonami obrazy i wizerunki. (por. Ks Piotr Mańkowski, „Po naszemu", str. 214).

Jak jest w rzeczywistości, tego opisywać nie będę. Ale skoro już u nas ten zwyczaj urządzania grobu wielkanocnego istnieje, wspomnę tylko o sposobie urządzenia go, możliwie zbliżonym do przepisów i ducha Kościoła.

GRÓB WIELKANOCNY. WSKAZANIA ARTYSTYCZNE I DEKORACYJNE

Treścią i centrum grobu wielkanocnego powinna być monstrancja, nakryta jedwabnym, nieprzeźroczystym welonem, w której wystawiona jest Hostia Święta. Monstrancja ta, zgodnie z przepisami kościelnymi (Instr. Klem. 5), powinna być umieszczona na tronie jedwabnym z baldachimem. Poza tym wystawienie to powinno być silnie podkreślone światłem liturgicznym.

Dekret rzymski, wyżej cytowany, dotyczący ołtarza wystawienia w Wielki Czwartek, trzeba uważać, w wypadku urządzania grobu wielkanocnego, za obowiązujący i zgodnie z jego treścią, grób wielkanocny powinien być tak traktowany, jak ołtarz wystawienia.

Ołtarz, na którym ma być urządzony grób, powinien być wyjątkowo pięknie udekorowany i oświetlony. Dekoracje ołtarza mogłyby stanowić pewien charakter okolicznościowy, przypominający Mękę Pańską: cierniowa korona, gwoździe, tabliczka z krzyża, włócznia, trzcina z gąbką, słup itp. przedmioty

W samym ołtarzu nie powinno być niczego co by przypominało Śmierć Chrystusa Pana. Myślę tu w tej chwili o figurze Zmarłego Zbawiciela, umieszczonej w antepedium lub na ołtarzu wśród skał.

Ołtarz powinien być przykryty obrusem tak, jak tego wymagają rubryki, t.j. przód ołtarza na grubość mensy, a boki powinny spadać aż do stopnia ołtarza.

Tron eucharystyczny i konopeum bogato przybrane galonami, powinny stanowić oś dekoracji i dominować. Imponująco powinien wypaść sam tron, zarówno co do wielkości jak i sposobu wykonania, na nim bowiem spoczywać będzie cała uwaga.

Zewnętrzną cechę „grobu" w odróżnieniu od zwykłego wystawienia, stanowić będzie dokładnie zakryta nieprzeźroczystym welonem monstrancja. Efekty świetlne mogłyby być tu użyte, jeżeli one wypadną na korzyść zwrócenia większej jeszcze uwagi na wystawioną na tronie monstrancję.

Poza ołtarzem dopiero można by popuścić wodze fantazji w urządzeniu groty z figurą Zmarłego Chrystusa Pana i innymi aspektami, przypominającymi czy to Śmierć Chrystusa, czy też wieczernik, czy coś z przebiegu procesu lub Męki.

Chwalisław Zieliński

REKOLEKCJE

Dorocznym zwyczajem odbędą się rekolekcje dla kobiet w kościele SS. Wizytek, w czasie od 5 marca (tj. od piątku) do 10 marca b. r.

Początek konferencji codziennie od godziny 6 po poł. w czwartek, 11 marca odbędzie się spowiedź, a w piątek 12 marca msza św. i wspólna komunia św.

Rekolekcji udzieli znakomity mówca zakonu kaznodziejskiego, Ojciec Anzelm Jezierski, Dominikanin.

Należy oczekiwać, że osoba wybitnego prelegenta spowoduje liczny napływ rekolektantek, prosimy więc o wcześniejsze zaopatrywanie się w karty wstępu na cały czas trwania rekolekcji, które otrzymać można w zakrystii SS. Wizytek, Krakowskie Przedmieście 34.

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

23

Stefan Kisielewski (Kisiel)

Nastąpiło szereg rewizji bez rezultatu — przeszukiwano mieszkanie Pikrona, laboratorium, jego samego napadano na ulicy, przetrząsano mu kieszenie, szukał Pikron, szukał Hagewand, szukała Alicja — wszystko na próżno. Profesor zaś był milczący, tajemniczy, zaniechał wszelkich prac, na zebraniach Loży się nie pokazywał.

Jak wiadomo pierwsza odkryła zagadkę tatuażu Alicja Dillon, w czasie sprowokowanej przez siebie nocy miłosnej Wstydząc się powiedzieć o tym Alenowi, którego kochała (sądziła ona, że Alen nic o jej stosunku z Galardem nie wie — w istocie właśnie doktór a nie kto inny doniósł radcy o tej sprawie, jak również o fakcie spędzenia przez Galarda nocy przy ulicy Bezludnych Domów), powiedziała o tatuażu tylko i to z grubym opóźnieniem, Edwardowi Lore — w ten sposób wiadomość nie doszła do Pikrona. Edward Lore postanowił wobec tego porwać Galarda i odczytać szyfr — w istocie zamierzał on potem zamordować profesora, nie mówił tego jednak Alicji, aby wieść nie dotarła do Alena, któremu Lore nie całkiem ufał.

W zbrodni ubiegł go jednak kto inny. Radca Pikron, po wielu bezskutecznych poszukiwaniach doszedł do wniosku, że żaden szyfr w istocie nie istnieje i że profesor Galard zna swój wynalazek na pamięć, wobec czego należy go zmusić do odsłonięcia tajemnicy, albo, o ile to się nie uda, skończyć z nim — radca był zdania, że jeśli wynalazku nie otrzyma Loża Budowniczych Świata — nie powinien go otrzymać nikt: w dodatku Pikron miał tę niższość w stosunku do obu podziemnych organizacji ,że zarówno Alicja jak i Hagewand znali, ogólnie przynajmniej, całokształt badań profesora; to było niebezpieczne.

W dniu dokonania zabójstwa, Pikron, nakazując Luizie Lore pilnowanie bramy (uprzednio podniecił był jej nienawiść opowiadaniem o owej nocy, spędzonej u kochanki) przyszedł sam do mieszkania profesora. O czym mówili — łatwo i trudno zarazem się domyśleć, w rezultacie jednak, po trzygodzinnej dyskusji, radca zamordował profesora, podżynając mu brzytwą gardło. Początkowo sądziłem, że morderców było kilku, nie znalazłem bowiem śladów walki, lecz po dokładnym zbadaniu pokoju stwierdziłem, że ślady szamotania się zostały później sztucznie usunięte — radca wolał widocznie nie mieć świadków. Pomimo niepozornego wyglądu Pikron był człowiekiem potężnej siły, o czym przekonałem się kilkakrotnie, między innymi raz, gdy potrząsnął mną jak gruszką w pokoju profesora Galarda, drugi raz, gdy czterech ludzi z trudem dało mu radę owej nocy w Zakładzie Chemii.

Po dokonaniu zbrodni Pikron przeszukał pobieżnie wiele już razy przetrząsany pokój — w poszukiwaniach przeszkadzał mu prawdopodobnie fakt, że śmiertelnie wystraszony szamotaniem i krwią kot profesora zaczął przeraźliwie miauczeć i drapać do drzwi wyjściowych. Pikron postanowił opuścić mieszkanie, lecz wyjący kot plątał mu się pod nogami i rwał się na schody Radca, obawiając się alarmu, próbował odepchnąć oszalałe stworzenie, lecz kot podrapał mu mocno obie ręce i w rezultacie uciekł na strych, a radca, zamykając mieszkanie, szybko zbiegł nadół, dając znak dozorczyni — w chwilę potem miauczenie kota zaalarmowało lokatorów. Te właśnie znaki podrapania na rękach zwróciły moje podejrzenia w kierunku radcy. Blizny nosi on do dnia dzisiejszego.

Dalszy przebieg wypadków jest znany: Edward Lore, chcąc być w porządku, zaalarmował policję, po czym zdecydowano porwać zwłoki, zaś z Alenem ukartowano ową fikcyjną katastrofę samochodową, aby nie budzić moich podejrzeń. Alen zawiadomił o wszystkim Pikrona, którego zaniepokoił bardzo fakt, że do śledztwa powołano — przypadkiem zresztą — funkcjonariusza Policji Śledczej a nie kogoś z jego ludzi — z Departamentu. Tego nie przewidział — to mogło mu bardzo skomplikować grę. Jeśli chodzi o porwanie zwłok, Pikron, nie wiedząc o jego celu (ponieważ zostało to ukryte przed Allenem) nie przywiązywał do tej sprawy większej wagi, zwłaszcza, że zwłoki obsztukał był dokładnie.

Główną troskę radcy stanowiło więc to, że ja, przeprowadzając śledztwo, a zwłaszcza przesłuchując dozorczynię, która znajdowała się w stanie kompletnej, chociaż opanowywanej histerii, mogę wpaść na ślad prawdy. Już gdy po raz pierwszy spotkałem go wieczorem w barze przy ulicy Balkonowej, czułem, że znajdował się w stanie wielkiego napięcia i obserwował mnie nieustannie. Niedługo po moim powrocie z baru radca również wrócił do domu — przechodząc musiał dać niewidoczny, porozumiewawczy znak dozorczyni, zanim udał się do siebie na górę. W pewien czas potem, zaopatrzony w jakiś ciężki przedmiot (wydaje mi się, że był to marmurowy, ruchomy posążek Apollina, który znajduje się w pokoju radcy) zeszedł na podwórze, gdzie spotkał się z Luizą Lore. Zamiar jego był prosty: pozbyć się niewygodnego świadka — wykonał to z siłą i precyzją, po czym wrócił na górę, oczyściwszy po drodze posążek i stawiając go na starym miejscu. Rewizja przeprowadzona u niego nie dała rezultatu — brzytwę, zapomocą której dokonał był pierwszej zbrodni ukrył gdzieś na mieście.

Komisarz zamilkł na chwilę. Minister zgarbiony wpatrywał się uparcie w róg biurka — choć było ono zupełnie puste. Pomimo przerwy Ekscelencja nie podniósł oczu, wobec czego Gromel podjął znowu.

Dalszy bieg sprawy jest Ekscelencji w dużej mierze znany, dopowiem więc tylko pewne szczegóły. Lore i jego ludzie odpisali sobie szyfr, a zwłoki ubrali podrzucili Allenowi, aby je spalił w Zakładzie. Doktór, nie znając tajemnicy tatuażu (ukrywanej przed nim skrzętnie przez Alicję i Edwarda Lore) zrobiłby to zapewne, gdyby nie traf, że przeczuwający coś ludzie Hagewanda porwali ciało, pozostawiając jednak w pośpiechu głowę. Podejrzewając ciągle Pikrona, musiałem jednak zajmować się tropieniem tamtych — wszystko to było bardzo denerwujące. Tymczasem Pikron doszedł do wniosku, że bez względu na to, czy wynalazek istniał czy nie, czy był gdzieś zapisany czy nie był, należy przystąpić do likwidacji obu ośrodków konspiracyjnych. Likwidację kwatery „Świata Nowego" przy ulicy Bezludnych Domów łaskawie powierzył mnie — kazał jedynie swoim agentom wypuścić Edwarda Lore; bał się jego zeznań, podejrzewał bowiem, że żona powiedziała mu, kto popełnił zabójstwo (w istocie tak było, Edward Lore schował jednak narazie tę wiadomość dla siebie, obawiając się, aby nie doszło to do Alena, któremu, jak już mówiłem, nie dowierzał. Niewytłumaczalne na pozór zniknięcie Edwarda Lore było dla mnie jasne: to pilnujący bramy agenci Pikrona, udający przed tym członków „Świata Nowego" wypuścili go.

Gdy tego wieczora w mieszkaniu profesora Galarda powiedziałem radcy o tatuażu i o przysłaniu mi porąbanych, odartych ze skóry zwłok (Malton zrobił to, sądząc, że zaniecham poszukiwań) nie wziął on tej sprawy narazie zbytnio do serca, opierając się bowiem na relacji Randena (rejent nie pokazał był mu testamentu — to wielkie niedopatrzenie ze strony radcy) przypuszczał, że szyfr jest nie do rozwiązania. Tego właśnie wieczora radca Pikron zdradził się dość niefortunnie. Powiedział mianowicie, że w dniu zabójstwa książki na najwyższej półce biblioteki profesora ustawione były ciasno jedna obok drugiej. Odrazu nasunęło się pytanie, skąd radca mógł wiedzieć, jak wyglądały książki w dniu zabójstwa? Przecież popołudniu do gabinetu profesora Galarda nie wchodził. A więc kiedy?! Oczywiście — rano! To potknięcie się radcy potwierdziło jeszcze moją, bardzo już mocno ugruntowaną koncepcję co do osoby zabójcy profesora. A jeśli chodziło o Luizę Lore — przecież ten, kto to zrobił nie mógł być niewidzialny. To musiał zrobić ktoś z klatki schodowej Pikrona. A któż inny miał dostateczne motywy do zabójstwa?! Tylko on!

Gdy powiedziałem radcy o notatce, znalezionej w Biblii Ercharda, spokój jego prysnął — z bardzo prostych powodów. Biblii tej, jak się zdaje, członkowie Loży używali do jakichś celów obrzędowych, a także za jej pomocą komunikowali sobie, w formie cytat, różne wiadomości. Fakt, że profesor ukrył notatkę o swoim testamencei w tej właśnie Biblii, nasunął radcy masę przypuszczeń: nagle przyszło mu zapewne do głowy podejrzenie, że rejent Randen coś o tym już wie, że ukrył to przed nim, potem pomyślał że ludzie Hagewanda zawładnąwszy szyfrem mogli w jakiś sposób dowiedzieć się od rejenta tytułu książki że wreszcie hrabia nie jest całkiem pewny że trochę za bardzo przesiąkł atmosferą „Narodu Przebudzonego" i tak dalej i dalej. Radca Pikron, trzeba mu to przyznać, jest człowiekiem bystro i szybko myślącym, a jeszcze szybciej działającym. Stąd pośpiech, z jakim pojechaliśmy do Randena, a później do Zakładu Chemii. Błąd radcy, polegający na tym, że w to drugie miejsce pojechaliśmy bez osłony, wynikał z jego absolutnego braku wiadomości o „opiece", jaką roztaczał nad gmachem Malton. Randen rzecz zataił, a pułkownik Hollon nie lubił Departamentu Politycznego i jego kontroli się nie poddawał. W rezultacie — wpadliśmy. Inna rzecz, że przyjazd całego oddziału mógł był ich spłoszyć zawczasu, — a wtedy nie wiem, czy odkrylibyśmy drogę do podziemia. Uratował nas — rejent. W ostatniej chwili, stwierdziwszy, że tekst jest w dalszym ciągu zaszyfrowany, albo w ogóle niezrozumiały i że pomoc nadeszła, ten entuzjasta siły błyskawicznie ocenił sytuację i zmienił front; słysząc wolnomularskie wezwanie radcy otworzył tajnym sposobem drzwi w suficie i wezwał pomocy. Gdyby nie on — zginęlibyśmy z ręki szaleńca.

Dokończenie nastąpi.

Zygmunt Jakimiak

MELODIA ŚWIĘTOŚCI

Nie będę szeroko opisywał wszystkich wrażeń. Dość, że w końcu wyraziłem księdzu zdziwienie, że parafianie niegowscy śpiewają lepiej niż jakikolwiek chór kleryków, czy nawet Benedyktynów z Solesmes.

Zagalopowałem się w entuzjaźmie. Jest w tym śpiewie czystość, siła, naturalność i głębia. Inne chóry, śpiewające chorał, robiły wrażenie poprawności, ale zarazem pewnej sztuczności i braku przekonania. Tu spotkałem głębokie odczucie melodii gregoriańskich.

— No — wyjaśniał proboszcz — pan słyszał benedyktynów z płyt, a chorał nie jest i nie może być śpiewem popisowym. Poza Mszą św i officium traci on swoją treść, swoją istotę i musi brzmieć nienaturalnie. Poza tym wchodzi tu w grę problem prostoty i inteligencji. Ludzie prości nie są sceptyczni. Chłopi to element najwszechstronniej przeżywający konkretne życie, wszystkie jego trudy i ciężary. To bogaci ich duchowo i sprawia, że wiara, nadzieja i miłość bardzo silnie w nich przemawiają. Są oni bardziej dojrzali do śpiewu gregoriańskiego, niż inteligencja. Ale mam tu jeszcze jeden zespół, śpiewający chorał.

— Czyżby z braku duchownych obarczono księdza jeszcze drugą parafią?

— Jest to raczej parafia w parafii — sprostował ksiądz. — Jestem kapelanem Sióstr Benedyktynek-Samarytanek od Krzyża Chrystusowego. Śpiewają one inaczej zupełnie, ale też charakterystycznie.

Zaskoczony aż takim bogactwem osobliwości w jakże mało znaczącym Niegowie poszedłem wraz z kapelanem do kaplicy klasztornej.

Styczność ze zgromadzeniami żeńskimi nieraz już miałem; stąd mało byłem wrażliwy na odstraszające nazwy ich zgromadzeń (jak te — od Krzyża!) oraz na obcość ich ubioru i obyczajów. Wiedziałem dokładnie, że zakony jakby umyślnie odstraszają od siebie ludzi, aby tylko najśmielsi mogli do nich wejść, no i by ukryć przed byle jakimi oczami to, co w ludzkości najpiękniejsze. Habit kłóci się z modą świecką tak jak mądrość Ewangelii kłóci się z mądrością świata. Jest on niezmienny, jak niezmienne są obyczaje katolickie, pielęgnowane w zakonach i typ cnoty, jaki z nich wyrasta. Dawno już nie byłem w pobliżu klasztoru żeńskiego i spragniony byłem jego atmosfery pokoju, ciepła i serdeczności.

* * *

Niewielką kaplicę klasztorną ożywiały dwie grupy kobiet, ubranych w białe habity i białe zasłony na głowy. Śpiewały stojąc. Zorientowałem się, że jest to końcowa część Officium, zwana nieszporami. Na „Gloria Patrii"... w czasie solowego śpiewania przewodniczącej pochylały się w głębokim pokłonie. Podczas śpiewania lekcji jedna z nich lub kilka wychodziło na środek kaplicy. Był to widok bardzo malowniczy. Dwa oddziały białych postaci w czyściutkich i pięknie prasowanych habitach, siadające, powstające i chylące się jakby na jakąś cichą komendę, jakby w jakimś uroczystym tańcu, a wszystko wśród słodkiego śpiewu dziwnych melodii, wyrażających przedziwną poezję łacińskich tekstów.

Przyszedł mi do głowy niedorzeczny zarzut o bezmyślnym klepaniu pacierzy. Gdzież w świecie można spotkać tyle wewnętrznej karności, skupienia, powagi, oddania się wobec przedmiotu recytacji? Może poseł, mówiący „Wysoka Izbo!", albo woźny, głoszący „Wysoki sąd idzie" albo polityk, grzmiący „Szanowni obywatele!" myślą więcej o tym co mówią, niż katolik śpiewający „Tu autem, Domine, miserere nobis"? Nie, to raczej świeckie formułki są pustymi frazesami.

Po ukończonej ceremonii mój przewodnik przedstawił mnie przełożonej generalnej zgromadzenia, Matce Dominice Szymczewskiej, zakonnicy — w średnim wieku o twarzy stanowczej i oczach pełnych dobroci i energii. Biały habit i welon były na niej przykryte czarnym płaszczem i zasłoną.

— No, jak się panu podobał ten śpiew — zagadnął proboszcz, gdyśmy się usadowili przy herbacie.

— Jest on inny niż parafian i niemniej charakterystyczny. Tam jest sama natura, żywioł, człowiek z krwią i wszystkimi zmysłami. Tu zaś jakby tylko czysty duch, czysta poezja.

Optyczny przebieg Officium jest przy tym doskonałym uzupełnieniem śpiewu, jego materialną podstawą.

Rozmowa potoczyła się dalej. Mówiłem o spokojnym życiu w klasztorach, gdzie ubiera się w piękne, śnieżne szaty i siedem razy na dzień (bo tak zda e się rozkazuje św. Benedykt) wyśpiewuje najpiękniejszymi melodiami najczystszą poezję. Jest to słodkie, ale nie ziemskie życie. Ciekawym, kto też zaopatruje doczesne potrzeby zakonu? Czy nie Opatrzność, która nie pozwala na to, żeby Jej służba brukała się brudną pracą ziemską...

Spojrzałem na Matkę i proboszcza, czy ich nie uraziłem. Z wielkim jednak zdziwieniem spostrzegłem, że Matka jakby poweselała, a proboszcz wprost wybuchnął głośnym śmiechem.

— Zakon nasz — wyjaśniła Matka — jak każdy inny, żyje oczywiście z Opatrzności. Ale nie jest zakonem żebrzącym. Myślą przewodnią św. Benedykta jest praca i modlitwa. Żyjemy więc z pracy rąk własnych. Przez to nawet nie modlimy się wspólnie siedem, ale tylko cztery razy dziennie.

Tymczasem proboszcz, który właśnie ochłonął ze swej wesołości, zabrał głos.

— Wierzę — rzekł — że pan jest człowiekiem konkretnym, który sporo przeżył i dlatego wymaga objaśnień we właściwym języku. Otóż zgromadzenie to jest najbardziej oryginalne ze wszystkich istniejących dotąd. Żyje ono duchowo i cieleśnie — padliną. Na tej zasadzie zakładała je Matka Wincenta.

— To jest symbolika, której nie bardzo rozumiem, choć nie mogę odmówić jej siły wyrazu i wartości konkretu.

— Zgromadzenie to — objaśnił kapelan — bierze na siebie odpowiedzialność za ludzi nieodpowiedzialnych, żyje zwalczaniem skutków grzechu. Matka Jaroszewska postawiła swemu zgromadzeniu jako cel opiekę moralną i fizyczną nad potomstwem syfilityków i alkoholików oraz pielęgnowanie wszelkiego rodzaju weneryków w szpitalach, opiekę nad prostytutkami, które mogą pragnąć zmiany życia, wychowywanie nienormalnych dzieci itp. Ale że pan jest człowiekiem konkretnym i lubi fakty — mamy tu na miejscu szpitalik, w którym będzie pan mógł zobaczyć ciekawsze wypadki, o jakich wspomniałem.

Była może siódma po południu, co w maju jest jeszcze wczesną porą, szczególnie przy posuniętej godzinie. Udałem się z księdzem przez nieogrodzony jeszcze po wojnie ogród klasztorny do niskiego, ale długiego budynku, który mógł być dawniej czworakami. Po drodze ksiądz objaśniał.

— Posiadłość tę kupiła Matka Wincenta w 1931 r. na nowicjat i dom główny zgromadzenia. Nie miała potem czym wypłacać. Ostatnią ratę oddano dopiero w pięć lat po jej śmierci, na początku wojny. Był nawet o to jakiś proces, w którym omal nie odebrano majątku. Ale taka już była Matka Wincenta. Podejmowała się zadań, przewyższających jej siły.

Weszliśmy do budynku. Duży pokój, pięknie wybielony, firanki przy oknach, doniczki z kwiatami, podłoga malowana, zapastowana, froterowana; piękna, czysta pościel na łóżkach. A wśród tego wszystkiego — jakby specjalnie dobrane karykatury dzieci, dzieci, które tak wszyscy kochamy. Zbiór potworków, najokropniejszej nędzy cielesnej i umysłowej. Wrzeszczą okropnym, ledwie artykułowanym głosem do księdza, który widocznie jest tu dobrym znajomym. Wrzody okropne na rękach, twarzach, nogach i na wszystkim, co jest z ciała widoczne. Twarze powykrzywiane okropnymi grymasami, osłupiałe, idiotyczne oczy, nieskoordynowane ruchy. Wszystko dzieci w wieku od dwóch do czternastu lat. Kilkoro leżało w łóżkach, jedno siedziało w fotelu, reszta — około dwunastu — skupiało się koło zakonnicy w białym, choć nie tak czystym, jak w kaplicy, fartuchu. Zakonnica patrzyła na nie i krzątała się koło nich w taki sposób, jak prawdziwa matka wśród własnych dzieci. W atmosferze tego spaczenia, wykrzywienia wszystkiego, co oznaczamy wyrazem „dziecko", jego uroku, niewinności, wobec tej ponurej groteski zdjęła mnie taka odraza, że z największym tylko trudem mogłem wytrzymać w tym budynku kilka minut, w czasie których mój towarzysz rozmawiał z chłopcami i s o-strą oraz informował mnie, że ci, co leżą, w ogóle nie mogą wstać i pewnie niedługo jeszcze pożyją; ten, co siedzi, zawsze tak siedzi. Z nieopisaną przyjemnością odetchnąłem, gdyśmy się wreszcie znaleźli poza obrębem szpitalika.

— No? — spojrzał na mnie proboszcz — jakże się panu ten konkret podobał?

— Okropne! — odrzekłem szczerze. — I pół godziny bym tu nie wytrzymał; że też Niemcy nie wybili tych dzieci?

— Kilka razy próbowali — opowiadał ksiądz — przyjeżdżali, spisywali, a siostry po tych wizytach modliły się, krzyżem leżały po całych nocach. I co pan powie? Nie przychodziły żadne rozkazy, nikt się nie odzywał, nie było żadnych skutków.

— Modliły się ksiądz mówi — dziwiłem się — o życie takich dzieci? Nie uważam się za nienormalnego człowieka, ale wydaje mi się, że każdy normalny człowiek czuje wstręt do tych potworków.

— Ma pan rację — potwierdził ksiądz — rodzone matki nie przyznają się do nich. To wszystko prawie sieroty, czy podrzutki. Ale siostry Samarytanki kochają je, jak własne dzieci i opłakują śmierć każdego z nich, co się trafia dość często. Zresztą i dzieci są do sióstr bardzo przywiązane, jak pan mógł zauważyć.

— Rzeczywiście, natknąłem się w Niegowie na rzeczy, które mnie dziwią. Jak pogodzić nadziemsko anielskie życie z takim świadomym nurzaniem się w tym błocie społecznym?

— O przepraszam — zaprzeczył ksiądz — te dzieci, to już nie błoto One są niewinne. Winni są ich rodzice, tylko winy i jej skutków nie chcą wziąć na siebie. Lecz dzieci są niewinne! Któż więc weźmie na siebie winę? Kto będzie dzieci chował? Kto się nimi zachwyci, kto w nich dojrzy obraz i podobieństwo Boga, kto je zechce wyrwać nędzy, a zwrócić Bogu? To wszystko należy się tym dzieciom w równym stopniu, co dzieciom normalnym, należy im się tak samo matka i to matka dobra, tkliwa, kochająca, należy im się dom, pełen radości i ciepła, należy im się choinka, zabawki i św. Mikołaj i jajko wielkanocne i beztroskie zabawy i nauka w szkole i zawód, który im pozwoli na siebie zarobić. Słowem to wszystko, co mają inne szczęśliwe dzieci normalne. A kto im to da, jeśli matka rodzona wyrzeka się ich i nie chce ich znać? Pozostaje tylko zakonnica.

— Istotnie — przyznałem — trzeba chyba naprawdę wiary anioła w tym wypadku. Trzeba głęboko wierzyć, że te dzieci są dziećmi ludzi, że to są stworzenia boskie. Bo dojrzeć to jest bardzo trudno. Nie widziałem jeszcze lepszej ilustracji dla doktryny o grzechu pierworodnym i w ogóle dla upadku człowieka. Bo niezaprzeczenie jest w nich pierwiastek ludzki, to oczywiste. Najtrudniej zobaczyć tu tylko Boga. Naprawdę trzeba ślepej wiary.

— W ten sposób — ciągnął dalej ksiądz — zobaczył pan odwrotną, dolną stronę anielstwa z kaplicy. Tu Bogu służą, tam go chwalą. A im głębiej człowiek zstąpi w służbie, tym więcej podnosi się w chwale. Tu zasługują, tam biorą nagrodę. I inaczej być nie może. Im wyżej strzela w górę wierzchołek drzewa, tym głębiej chowają się w ziemię jego korzenie, bo w przeciwnym wypadku drzewo się przewróci od wiatru, nie podtrzymywane przez korzenie, albo uschnie z braku pokarmu.

Zakonnice zajmują się zresztą nie tylko dziećmi. Do ich obowiązków należy także pielęgnowanie weneryków, opieka nad prostytutkami, pielęgnowanie trędowatych i opieka nad więźniami. Przed wojną Zgromadzenie wykonywało wszystkie te zadania, z wyjątkiem opieki nad trędowatymi. Obecnie jednak wojna rozbiła szpital św. Łazarza, gdzie samarytanki pracowały nad wenerykami przez 18 lat. Prostytutki rozpierzchły się z Henrykowa w czasie wojny i obecnie zakonnice jako jedyny skarb, jako jedyne źródło życia mają te dzieci. Ale w miarę uspakajania i organizowania się przyjdzie kolej na wszystko.

Następnego dnia wstałem o piątej i poszedłem na Landesy. Po Mszy św. znów widziałem się z Matką Generalną; chciałem bliżej poznać życie założycielki tego ciekawego zgromadzenia, by je opisać.

Ale przyszło mi do głowy, że, nim napiszę życiorys Matki Wincenty, co Bóg wie kiedy nastąpi, dobrze będzie ogłosić chociaż rozdział wstępny tej książki. Korzyści takiej publikacji mogą być wielorakie i nieobliczalne. A nuż na przykład jaki Czytelnik znał Matkę Wincentę, ma jakieś materiały, opowiadania, anegdoty z jej życia... W takim razie życiorys na tym skorzysta, bo takich skarbów nie chowa się dla siebie, ale się nimi dzieli. Albo też któraś z Czytelniczek nabierze upodobania do tego tak niewymownie wzniosłego życia i do tej, tak nad wyraz odrażającej (przynajmniej dla mnie) pracy... Może w takim razie powiększy liczbę Samarytanek... A trzeba ich dużo! bardzo dużo. Dzieci nienormalnych jest w Polsce około 50 tysięcy, przeciętnie 2 proc. ogólnej ilości. A ile syfilityków, weneryków, prostytutek? Żeby ich obsłużyć potrzeba dziesiątków tysięcy Samarytanek. Te półtora setki nie może wszystkiemu podołać. A poza tym — trzeba się starać o kanonizację tej Kobiety. Nikt chyba jej świętości nie kwestionuje, bo jest wyjątkowa już w samym tylko pomyśle takiego zakonu. Do kanonizacji jednak potrzeba cudów, nie jednego, ale czterech. Inaczej Kościół nie uzna świętości. Trzeba więc modlić się o cudy. Wydaje mi się, że najwłaściwsze byłoby uzdrowienie jakiegoś beznadziejnego wypadku syfilisu. Dotychczas dla syfilityków świat nie miał nic lepszego poza pogardą i śmiechem, czasem używano ich dla postrachu. Matka Wincenta kochała ich i poświęciła im swoją pracę i usługi. Można więc mieć do niej pełne zaufanie. A w końcu — tyle sobie wzajemnie wyrzucamy niedbalstwa, lenistwa, obojętności. Przeciwnicy wciąż nam mówią, że nic nie robimy. Proszę, robimy, chciejmy tylko zobaczyć! Kto poza katolikami taką pracę i tak jest w stanie wykonać? Nikt! Matka Wincenta mawiała do swoich córek zakonnych: „Póty będziecie istniały, póty was będą potrzebować, póki będzie istniał grzech". A skutki każdego grzechu są odrażające. Trzeba więc się trochę i pochwalić tym, czym nikt inny nie może.

Korzyści więc publikacji choćby tylko wstępnego rozdziału mogą być wielkie. Toteż ogłaszam go choć wiem, jak go redakcja ukróci.

Z. Jakimiak

Czytelnik uważa, że...,

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Bochnia. Dyrekcja F. Polskiego uraczyła tutejsze kino filmem szwedzkiej produkcji pod tytułem: „Droga do nieba".

Czy w stolicy i innych miastach większych wyświetlany był ten film — nie wiem. Przypuszczam, że tylko w mniejszych miastach. Tytuł wskazuje na film religijny. I tak jest. Widzimy świętą Rodzinę w drodze do Betlejem, śpiewy w świątyni i różne obrazy bez żadnego związku myślowego. Na przykład takie niedorzeczności: Kostiumy z okresu około 19 wieku, co nie zgadza się z paleniem czarownic, albo kupno zegarka przez wiejskiego chłopaka. Gdzie Rzym, gdzie Krym.

Ale nie o to chodzi. Są rzeczy przykre i smutne. Oto do niewinnie uwięzionej dziewczyny wchodzi pan, ubrany jak inni w cylindrze i mówi: Jestem Bóg Ojciec !... wymawiając wersety z Pisma świętego.

Powtarzają się jeszcze dwa razy podobne sceny z bohaterem sztuki.

W jednej scenie Matka Boża mówi i pociesza zmartwionego.

Czy nie jest to parodia, a nawet profanacja Świętości? Niech sobie odpowie katolik, który wie co to jest Bóg.

Już u Żydów nikomu nie było wolno wymówić imienia Bożego, tylko najwyższemu kapłanowi.

Publiczność kinowa odpowiednio zareagowała, a najlepszy dowód, że na ostatnim seansie zjawiło się kilka osób.

Niewielka ilość widzów olśnionych krajobrazami i dobrą grą artystów nie zauważyła co jest najważniejsze. Wszyscy inni opuszczali widownię z niesmakiem i rozgoryczeniem.

Jeżeli takie filmy możliwe są dla chrześcijan, nie do przyjęcia są dla katolików.

T. S.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Uprzejmie proszę o łaskawe umieszczenie w Swoim poczytnym piśmie następującej wzmianki do wiadomości P.T. Czytelników.

„W związku ze wzmianką w swoim czasie w piśmie „Dziś i Jutro" o zamordowaniu przez zbombardowanie klasztoru 14 S.S. Sakramentek, podczas adoracji w dniu 31.VIII.1944 r. o godz. 16-ej, nadmieniam, że S.S. te zostały odnalezione pod gruzami i pochowane w listopadzie 1947 r. w jednej trumnie w podziemiach klasztoru N. Miasto 2".

Matka zamordowanej nowicjuszki

Równocześnie proszę Pana Redaktora o ogłoszenie:

Teodora Kraków, zam. w Warszawie (Bielany), ul. Kleczewska Nr 11, m. 2, zatrudniona w Zarządzie Miejskim, Sekcja Podatkowa, Al. Sikorskiego 1, prosi serdecznie, jeśli ktoś ma jakiekolwiek wiadomości o moim mężu Stanisławie vel Janiszewski Kazimierz, Kapitan, pseudo „Bończa", zakwaterowany przy ul. Wilczej, o podanie wszelkich szczegółów pod moim adresem albo do biura.

T. Kraków.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Z przyjemnością przeczytałem projekt p. Z. Wędrychowskiego o projekcie założenia przy Tyg. „Dziś i Jutro" Klubu Książki. Bardzo gorąco popieram projekt, gdyż brak takiego wydawnictwa bardzo się odczuwa. W czytelniach na ogół tych książek treści religijno - społecznych brak. Kupowanie po cenach księgarskich na przeciętną kieszeń, za kosztowne. Myślę, że Redakcja poczytnego Tyg. W.Panów dostanie więcej listów, niż mój nie zbyt udolnie pisany.

Życząc by projekt wszedł w fazę realizacji jak najszybciej, wpisuje się zaraz na członka Klubu Książki „Dziś i Jutro".

Łączę wyrazy szacunku i poważania:

A. Grabowska

Katowice, dn. 22.II.48.

NADESŁANO

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK", Warszawa,. 1947.

Tenerson Leopold: ELEKTROTECHNIK. Przystępny Zarys Wiadomości z dziedziny elektrotechniki prądów silnych. Z przedmową inż. Wł. Kotelewskiego, str. XII + 288.

Dąbrowska Maria: NOCE I DNIE. Tom I. Bogumił i Barbara. Wyd. V, str. 280.

Dąbrowska Maria: NOCE I DNI. Wieczne Zmartwienie, wyd. V, str. 278.

Żeromski Stefan: SYZYFOWE PRACE. Powieść współczesna. Tom VI. Str. 2 nlb + 370 + 2 nlb.

Żeromski Stefan: LUDZIE BEZDOMNI. Powieść. Pisma pod redakcją Stanisława Pigonia. Tom VIII. Str. 2 nlb + 370 + 6 nlb.

Mokrzycki Gustaw Daniel: ELEMENTARZ LOTNICZY. Część I i II. Aerodynamika i mechanika. Biblioteka Ligi Lotniczej, str. 80.

Jeans, Sir James: WSZECHŚWIAT. Gwiazdy — Mgławice — Atomy. Wyd. II przerobione. Przeł. dr W. Kapuściński. Biblioteka „Mathesis Polskiej" seria nauk ścisłych. Str. XII + 336 + tabl. XXXII.

Jeans, Sir James: PODRÓŻ W CZASIE I PRZESTRZENI. Przeł. prof. dr Bolesław Gawecki. Wyd. II. „Mathesis Polska" dla Młodzieży, str. XV + 231 + L tablic.

GEBETHNER I WOLFF, Warszawa, 1947.

Boguszewska H.: CZEKAMY NA ŻYCIE, str. 224.

Gotlib H.: WĘDRÓWKI MALARZA, str. 248.

Makuszyński K.: PANNA Z MOKRĄ GŁOWĄ, powieść dla młodzieży, wyd. VI, str. 268.

Makuszyński K.: SKRZYDLATY CHŁOPIEC. Powieść lotnicza dla młodzieży, wyd. V, str. 234.

Szelburg - Zarembina Ewa: NIEDZIELA.

Urbanowska Z.: ZŁOTY PIERŚCIEŃ. Opowiadanie dla młodszych dzieci z 10 ilustracjami i okładką barwną S. Norblina, wyd. IV, str. 136.

Eliza Orzeszkowa: DZIURDZIOWIE.

WYD. WŁAD. BĄKA, Łódź — Wrocław, 1947.

Kraszewski J. I.: MISTRZ TWARDOWSKI. Powieść z podań gminnych, str. 268.

Tiutczew T. J., Puszkin A. S.: WYBÓR LIRYK. W przekładzie Tadeusza Stępniewskiego. Przedmowa K. W. Zawodzińskiego, str. 82.

Gustaw Zieliński: MANUELA. Opowiadanie starego weterena z kampanii Napoelońskiej w Hiszpanii, str. 214.

„AWIR", Katowice, 1948.

Cronin A. J.: KLUCZE KRÓLESTWA. Powieść, str. 368.

Cronin A. J.: ZIELONE LATA. Powieść, str. 292.

Warner Rex: LOTNISKO. Powieść, str. 218.

Morcinek Gustaw: ZAGUBIONE KLUCZE, str. 260.

VERBUM v Kosicach.

Mickiewicz Adam: KNIHY NARODA POLSKEHO A KNIHY PUTNICTWA POLSKEHO Z ROKU PANA 1832, str. 120 + 4 nlb. Przeł. Matus Zjara.

Malewska Hanna: KAMENE BUDU VOLAT, str. 374 w preklade Stefana Koperdana, str. 374 + 2 nlb.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna. **Wydawca: Kolegium Redakcyjne**

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81. m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30 Prenumerata miesięczna 60 złotych. **Kwartalna 180 złotych.**

Druk. Skolimowska 5. **B-41765**